



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

JOANNA CRAIK.

W końcu zeszłego miesiąca, dnia 24 Października, zmarła w Londynie bardzo szanowana kobieta i autorka, Joanna Craik. Obok tej świetnej plejady romansopisarzy angielskich, wśród której, jako gwiazda pierwszej wielkości, jaśniał w połowie naszego stulecia Dickens, odznaczyły się kilka wyższych talentów niewieścich. Najrozwężniejszym, na co składały się i okoliczności leżące poza literaturą, — najśmielszym i najsilniejszym w wyrazie swych uczuć i myśli, najniepodleglejším w zdaniach i sądach, ale nie najsympatyczniejszym nie najpoczytniejszym był talent Maryji Ewans, Szkotki, piszącej pod pseudonimem Jerzego Elliot. Tuż obok stała Joanna Mulock, później zamężna Craik, której przewisko literackie dała pierwsza jej praca — pierwsza powieść, napisana w r. 1857, gdy jej autorka miała lat trzydzieści. „John Halifax, Gentleman.“ — Odtąd tytułowano ją w literaturze ojczystej i zagranicznej „autorką Johna Halifaxa,“ bo romans ten spokojny, można powiedzieć prosty, ze szlachetnymi, pięknymi, męźnami charakterami, — ze szlachetnym, najczystszej moralności ideałem, zyskał sobie odrazu tyle wziętości, że został przetłómaczony na wszystkie niemal języki europejskie, bo na francuzki, niemiecki, włoski, grecki, polski, a ostatniego przykładu dokonało u nas utalentowane pióro niewieście, Duchinińskiej, wtedy jeszcze Pruszkowej.

W Ameryce edycje powtarzały się jedna za drugą i miss Mulock stała się odrazu nietylko znaną w literaturze powszechnej, więc poniekąd sławną, ale bardzo sympatyczną dla publiczności, zwłaszcza dla kobiet, których uczucia umiała wzruszać i pociągać do siebie. Drugą, nie z kolei, ale z uznania, z wrażenia wywartego na czy-

telników, była jednotomowa powieść: „Lord Erlistoun“ o której krążyły pogłoski, że jest poniekąd autobiografią autorki. Dzieje to były miłości bardzo, jako wypadki, pospolitej. Kobieta nie nadzwyczajnie piękna, niebogata i na stanowisku podrzędnym, już nie w tych dniach pierwszego rozkwitu wiosny dziewczęcej, w której wszystko jest w kobiecie wdziękiem i pojętą, przywiązuje do siebie młodzieńca: wielkiego pana, lordowskiego syna, przed którym cały świat i życie stoi otworem ze wszystkimi swemi skarbnami używania, a którego pokochała i ona całą siłą bardzo tkliwego, bardzo uczuciowego serca. Mimo lat, w których już kochać byłaby mogła, w których inne kobiety już przechodzą przez ten przełom życia, była to dla niej miłość pierwsza, bo natura to była dla wyższej swej idealności wybredna. Oddać się też mogła raz na życie i ona to wie, wie, że jeżeli nie z tym jedynie wybranym, to pójdzie drogą życia samotnie, a przecież nie chce wziąć jego ręki i serca pod tem uczuciem egoizmu, który sobie mówi: niech się dzieje co chce... W myśli lady Erlistoun matki, młody lord miał inną, stosowniejszą dla niego wiekiem i stanowiskiem, choć nietylko charakterem i sercem odpowiadającą mu bogdanę, i ona, mająca nad ukochanym moc, która by mogła być zwyciężką, chce, aby przebył próbę — próbę oddalenia i wpływów światowych.

Jest w tem i wielka, nieegoistyczna, ofiarna miłość, jest w tem i duma wysokiego, niepospolitego serca; że przecież młody lord nie dotrwał: że dał się wziąć na wabik świeżego liczka i pojęt dziewczyny, rozkóchanej w nim i nęcić umięjącej, więc historia skończyła się tak, jak w tej piósence ludowej, parafrazowanej przez Żmichowską w *Księżce Pamiętek*. Jedno poszło górą, a drugie doliną: jemu pozostała w sercu wieczna tęsknota za ideałami młodej swej miłości; ona, samotna na świecie, była mu do końca życia wierną, szczerze, uczciwie życzliwą przyjaciółką.

Treść powieści zdaje się przez fabułę swoje bardzo skąpo odmierzoną, przecież wrażenie czytelników było inne: wzruszyła i zajęła tak tym dramatem uczuć cichych i nazewnątrż spokojnych, jak to nie zawsze daje się osiągnąć przez szereg zdarzeń najmocniej dramatycznych. Krytyk angielski, Lamb, powiedział o tej powieści, że jest ona jak te obrazki starych mistrzów włoskich, w których jedna głowa zawiera w sobie cały poemat.

Ze komentatorów współczesni podejrzewali w niej rzeczywiste dzieje autorki, już jest tych dziejów zarysem głównym: postać to być musiała wyższej, niepospolitej szlachetności, życie musiało być bardzo czyste i nieskalanie cnotliwe, jeżeli je posądzano o dramat taki. Dla tego też, dla charakterystyki, jaką to przedstawiało, należało treść tej powieści wmieścić w pośmiertne o niej wspomnienie. Jest w niej, nie ona wręcz, bo podobne jej natury nie malują same siebie w obrazkach na pokaz ludziom dawanych, ale jest jak świadczy przypuszczenie czynione, odbicie jej moralnej fiziognomii i może wrzucone na dno jakieś ziarenko uczuć własnych. Sand mogła pisać ze swego życia powieści, ale ona — nigdy...

„Lord Erlistoun“ był tłómaczony w piśmie naszym.

Do wybitniejszych powieści autorki „Jana Halifaxa“ należą: „A Noble Life,“ „A brave Lady“ „The Laurel Bush“ — napisała ich kilkanaście, a wszystkie szlachetnie pomyślane, w obrazkach swoich czyste i uczciwe, pełne uczucia i poezji, odbijają niejako rysy jej narodowego charakteru, bo choć urodzona w Anglii (w r. 1826) nad brzegiem Trentu, jak wspomina, była z rodu i przekonania Irlandką i katoliczką. Za mąż wyszła już niemłodą panną, prowadzącą dom własny w Bath, gdzie mieszkała stale, posiadając niezależność majątkową którą jej zapewniły prace literackie. Ojciec jej, dla którego była w młodości swej Antygona, literatem też był; a że bo-

haterka „Lorda Erlistouna“ jest również sierotą po literacie, dopomogło to do przypuszczeń, które tworzone.

Spóźnione jej zameęcie było już tylko związkim przyjaźni, a rzecz ułożyła się w sposób owiele dramatyczniejszy, niż to ona sama zwykła malować w powieściach swoich. Jakób Craik, wspólnik wielkiej firmy księgarskiej w Londynie: „Macmilan i Spółka...“ już człowiek niemłody, stał się jakoby jej opiekunem przy pierwszych wydawnictwach, do których jej dopomógł. Szkot z rodu, odczuł przez właściwości swego galickiego ducha, wrodzoną duchowi temu poetyczność i uczuciowość młodej pisarki irlandzkiej, i on zdecydował, że je wydawnicza spółka nabyła. Ztąd wywiązał się stosunek serdeczny, jakgdyby ojca i córki. Craik miał syna, Jerzego, ale tego wówczas nie poznała. Raz gdy wyjechała gdzieś w podróż, robił on za nią korektę jednej z jej powieści, ot tak, z życzliwości dla sympatycznej mu autorki, dla osoby, którą ojciec jego znał i lubił, ale nie przysłała mu nigdy chęć poznania jej, aż los sam wziął to na siebie. Zbliżyła ich przecież rzecz okropna: przypadek na kolei, w pobliżu Bath, pod Rugby, wśród którego między najciężej ranionymi był Jerzy Craik. Prawą nogę miał straszliwie pogruchotaną i musiano ją odciąć, a skoro tylko chory mógł kogoś widzieć, mógł zostać przeniesiony ze szpitala, w którym go umieszczono na razie, miss Mulock zjawiała się przy jego łóżku, a potem zabrała do siebie, do domu, gdzie syn starego jej przyjaciela został otoczony najwyższą troskliwością, jakgdyby siostry dla rodzonego brata.

Był on przytem człowiekiem nieszczęśliwym i to dawało mu w dobrem sercu miss Mulock prawo do najtkliwszej opieki. Otoczyła go nią: czuwała nad chorym, usiłowała go rozrywać, zabawiać wśród smutnej rekonwalescencji, wśród której świat musiał się ukazywać biedakowi przez pryzmat jego kalectwa. Aż z tego wszystkiego urodziła mu się w sercu wielka wdzięczność: przywiązał się do dobrej, szlachetnej kobiety i nie mógł się już z nią rozłączyć, a choć ona wahała się z początku, choć lękała się, czy dziś doznawane uczucie starczy na życie całe człowiekowi w sile męskiego wieku, niemniej dała się w końcu nakłonić.

Pobrali się: życie ich było cicho szczęśliwe i żadnymi burzami namiętności nie zakłócone, brakowało tylko u tego szczęśliwego ogniska domowego dziecińcy, której młode życie wniosło by tu blask wesela i przez nadzieję wiązało z przyszłością. Aż znowu los, który widać chciał, aby wciąż działało się tu tak, jak bywa w złej powieści, a może być w dobrem życiu, znalazło się cudownie i dziecko.

Małżonkowie poszli raz na spacer i znaleźli je na cmentarzu, położonym niedaleko od ich domu, w krzaku, gdzie spało, uwinęte w pieluszki. Była to dziewczynka, którą małżonkowie przybrali i wychowali jak córkę i którą też M-rs Craik kochała jak matka. Sama ją uczyła i oddanie się temu zadaniu przerwało literacką jej działalność, która od tego czasu ledwo że czasem dawała znać o sobie drobnymi jakimś powiastkami. Była zapewne tak szczęśliwą, — te wszystkie ideały szczęścia i poezji ogniska rodzinnego, które malowała w utworach swoich, tak znajdowała obok siebie, w życia swego treść wplecione, że ich nie ściagała już wyobraźnią.

Wiodąca życie bardzo ustronne, dla tej córki swojej zaczęła od dwóch lat ukazywać się często w Londynie i zawiązywać nowe stosunki. Znająco zauważyli przecież, że wygląda starszą nad wiek, że słabnie i może miała przecucie śmierci, bo obrała sobie miejsce na grób i wskazała je; tam też zostały złożone jej zwłoki d. 27 Października b. r. Mężowi prócz tej pamięci, która nigdy nie znika z sere, kochających, została się szczęśliwie cenna pamiątka jej osoby, takiej, jaką była w chwilach ostatnich — portret, który na żądanie jego wykonał prawie przed samą śmiercią najpierwszy portrecista londyński prof. Herkomer. Podobizna jej, podawana według niego w pismach angielskich przedstawia miłą, łagodną, siwowłosą kobietę z dużymi oczyma i wysokim czołem; na głowie ma zarzutkę z białej koronki, a podparta

lekko na lewej ręce, ukazuje na niej jeden tylko pierścienek — sygnet snadź drogi jej bardzo: obrączkę ślubną.

W literaturze angielskiej zostanie po niej ślad, nie genialności, ale szlachetnego, czystego, uczciwego talentu, który dobrze służył ludziom i poeciwię sławie.

Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Z cichym szumem strumyk płynie;
Nie użali się kalinie,
Co nad falą szumi.

Płynie z oczu łza dziewczynie;
Niekochana marnie ginie,
W sercu boleść tłumi.

W ciemnym borze wicher wieje,
Smukłej sosny szpilki sieje
Po dalekim świecie;

Nikną giną jej nadzieje
Ze łza, co się z oczu leje
I pierś ciężko gniecie.

Na urwisku jodła stoi,
W samotności szepce, roi
O swych siostrach w borze.

Dziewczę opuścili swoi...
I choć cisza smutek goi,
Ból zniknąć nie może.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Widomość o odbytych pojedynku i jego rezultacie rozniosła się tegosamego dnia na wszystkie strony: przyniesiono ją Fiszbaumowi do kantoru w głuchej wieści — dyskretnie niedyskretniej, jak to najczęściej bywa w podobnych wypadkach. Bankier omal że bez paltota i kapelusza nie pobiegł do Lackich; wpadł do gabinetu Romualda, jak bomba, przestraszony, zadyszany, wzburzony do głębi.

— Mój Muldziu — zaczął już od progu głosem niemal płaczącym — mój Muldziu, co ty znów najlepszego robisz!... co ja się znowu dowiaduję od ludzi!... Całe miasto o tobie gada, żeś ty miał pojedynek, żeś ty kogoś postrzelił, czy zabił, czy co takiego, a ja nie wiem o niczem?... To nie może być; gdzieżbyś ty chciał tak narażać siebie, Ludwikę, mnie i nas wszystkich; broń Boże wypadku... kula jest ślepa, człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Co to wszystko ma znaczyć?... na liłość boską, powiedzżeż prawdę, bo się we mnie wewnętrzności poprzewracały. Co to za pojedynek, kiedy, z kim, na co?... Jeszcze was wszystkich do kozy pozamykają... O, o, żeby się Ludwika tylko nie dowiedziała odrazu; ona się może rozchorować — ja sam się rozchoruję z tego, ja już jestem chory od onegdaj. Co ty wyrabiasz, mój Muldziu!...

Romuald podał mu krzesło.

— Czyś ty się już bił, czy masz się bić dopiero? — pytał dalej Fiszbaum — czy może to wszystko nieprawda?...

— Prawda — spokojnie i krótko odparł Romuald.

— Co za prawda?

— Biłem się dzisiaj rano.

— Dzisiaj rano!...

Fiszbaum ręce załamał i struchlał:

— Nie było innego wyjścia z tej sprawy — próbował tłumaczyć mu zięć — chodziło o uratowanie honoru, musiałem wyzwać autora artykułu w „Ojcowiznie.“ Niepodobna było zmilczeć i nie odeprzeć napaści... Teraz się nie ośmiela szarpnąć znowu którego z nas tak gwałtownie, odkąd wiedzą, że trzeba głowy za to nadstawić. Nauka powinna poskutkować na przyszłość...

Bankierowi słabo się robiło; zaczął rozpinać surdut i wachlować się kapeluszem.

— No, co mi z tego! — zawodził złamanym głosem — ale ty mogłeś zostać trupem na placu, a biedna Ludwika — wdowa. Czyś ty o tem nie pomyślał?...

Romuald wzruszył ramionami, jakgdyby chciał powiedzieć: „trudna rada.“

— I to wszystko przez tych gazeciarzy!... a mówiłem, mówiłem, mój Muldziu, po co tobie wdawać się w nieswoje rzeczy — przerwał dalej Fiszbaum — przepowiadałem tobie.

Dzwonek u drzwi wchodowych zadźwięczał.

Była to Jerzbicka z mężem, który miał minę zasnęłą i skrzywioną, nie kontent widocznie, że go wcześniej, niż zwykle, wyciągnięto z łóżka dla takiej głupiej sprawy, jak pojedynek szwagra.

— No, widzisz — zaczął odrazu we drzwiach do żony — widział!... mówiłem ci, że mu nic nie będzie? Masz go tu; zdrow i cały, nic mu nie ubyło. Jak się masz — rzekł, podając rękę Romualdowi — dzień dobry papie. Cóż to, papa też ma minę, jak półtora nieszczęścia!.. Pofixowaliście wszyscy!

Jerzbicka poszła najpierw przywitać się z ojcem, który w powietrzu złożył pocałunek na jej czole, potem podeszła do Romualda, przypatrując mu się z mieszaniną szacunku i ciekawości.

— I pan naprawdę strzelałeś się dzisiaj? — spytała głosem pensyonarki, która wszystkiemu dziwi się naiwnie. — A cóż Ludwika na to?...

— Ludwika jeszcze się nie zbudziła — spokojnie odrzekł Lacki — ale zkadże już i państwo tak wcześniej dostaliście tę wiadomość?

— Do nas pisała Henryetta dziś rano z zapytaniem: czy nie wiemy, co u was słychać — objaśniała Jerzbicka, a mąż jej rozsiadł się przy biurku Romualda i najobojętniej w świecie zaczął się przyglądać brązowym przyborom do pisanania, jakgdyby kwestya pojedynku przestała dla niego istnieć z chwilą, gdy szwagra zobaczył w zdrowiu i nieuszkodzonego. Próbował wszystkich piór i ołówków, kreśląc na czerwonej bibule kwadratowe zwierzęta z rykiem spuszczone lub podniesionym dla odmiany i z zakręconym ogonkiem z tyłu, którym przypatrywało się w promienistej aureoli słońce głupkowato uśmiechnięte z wystawionym koniuszkiem języka z jednej strony. Te rysunki zdawały się sprawiać mu wielką przyjemność i zajmować teraz całą jego uwagę.

Fiszbaum siedział zaszępioty i milezący; z pod oka tylko rzucał co chwila badawcze spojrzenie na Romualda, jakby nie dowierzał sobie, czy to naprawdę zięć jego i czy to tensam, który przed godziną może stał wyprostowany naprzeciw lufy swojego przeciwnika z pistoletem w ręku, pozwał strzelać do siebie, jak do tarczy, i sam strzelał, strzelał ostrym nabojem, nie na żarty, do swojego bliźniego.

Jakaś mieszanina dwóch sprzecznych uczuć wypełniała jego serce; dumny był z takiego rycerskiego zięcia, imponowała mu ta odwaga człowieka, umięjącego stanąć w obronie swego i rodziny swej honoru, ale zarazem jakiś lęk, jakieś uczucie nieswojskości wobec tego śmiałka, który w danym razie gotów był zabić, lub dać się zabić, ogarniało Fiszbauma.

Nie umiał sobie dobrze zdać sprawy z tego, co w nim przeważa, czy uznanie dla Romualda, czy pewien rodzaj urazy i niezadowolnienia. Papa Fiszbaum nie lubił takich dwóistych sytuacji; miał uczucie, jakgdyby go z jednej strony oblewał deszcz ciepłej wody, a z drugiej spadały zimne krople na rozgrzane plecy; podrzucał ra-

mionami i mrużył kolejno raz prawe, drugi raz lewe oko, świerzbiała go cała skóra. Rozumiał, że wypadało mu być dumnym i zadowolonym z tego pojedynku, który pod każdym względem szczęśliwie się zakończył, a mimo wszystko nie mógł się szczerze przekonać do niego.

Jerzicka zadawała Romualdowi rozmaite pytania, z coraz większym zajęciem, ale znać było, że ją więcej formalna strona tej sprawy interesuje, aniżeli sama istota rzeczy.

— Na piętnaście kroków strzelaliście się panowie? — pytała — to tak, jak przez ten pokój?... może więcej, prawda?... Ależ to bardzo blisko!... Jak to się można nie trafić na taki dystans?

Jerzicki zwrócił się do osowiałego teścia mówiąc:

— Zdejmże papa nareszcie to palto; tu i tak gorąco.

Fiszbaum obruszył się opryskliwie.

— Daj mi pokój!

— Papa dziś lewą nogą musiał wstać z łóżka?... syczy, jak gorąca blacha.

— Zebym ja żadną już nie wstał, to byłoby lepiej! — mruknął melancholijnie bankier i ręce załamał na brzuchu.

Jerzicki śmiać się zaczął.

— Biedny Vater!... żebyśmy tak wszyscy trzej po kolei zaczęli pukać do ludzi, to papa schudłby ze zmartwienia w ciągu tygodnia, prawda?

Fiszbaum spojrział na niego z niechęcią.

— Proszę cię, schowaj sobie swoje dowcipki na jutro.

— Bądź papa spokojny: mnie jeszcze na tydzień wystarczy; przy tem wszystkim proszę ze mną ostrożnie i grzecznie — dodał z przybraną śmiesznie grozą — bo ja także strzelam...

— Baki — przerwał mu Fiszbaum, zdobywając się na rzadki dowcip, który mu sprawił satysfakcją nawet w tej chwili, bo się kwaśno uśmiechnął do siebie.

— Co strzelam, to strzelam, ale radzę zawsze grzecznie i ostrożnie!

Drzwi się znowu otworzyły i wszedł szybkim krokiem pan Sylweryusz, z kwiatkiem w butonierze; minę miał poważną, nastrojoną widocznie do okoliczności, głosem zlekka drżącym i niższym odezwał się od progu, objawwszy obecnych jednym spojrzeniem:

— Zatem wiecie już o wszystkim? — tem lepiej; — potem zbliżył się do Romualda i całując go w czoło, uściśnął mu obie ręce, mówiąc:

— Winszuję ci, spisałeś się, jak należy. Jestem z ciebie bardzo zadowolony!... tak nakazywał uczyni honor Lackich! — zakończył z godnością trochę patetyczną.

— *Bonjour madame* — odezwał się w tejsamej chwili swobodniejszym tonem, pełnym zwykłej sobie wobec kobiet galanterii i ucałował na powitanie rączkę Jerzickiej. — Jak się masz, preziesie?

Fiszbaum wobec pana Sylweryusza starał się nabrać pogodniejszej miny, zwłaszcza usłyszawszy tak uroczystą approbatę postępu Romualda z ust ojcowskich; zdawało mu się, że uczuwa nagle starszłachecką krew w swoich bankierskich żyłach, która dopiero we wnuczątkach jego krążyć miała.

— Masz słuszną marszałku — odezwał się do starego Lackiego, podając mu swoje grube palce na powitanie — co się spisał, to spisał, ale...

— Żadne, ale — zaprotestował z góry pan Sylweryusz — ślicznie postąpił!... nie powinienem tego tak głośno mówić jako ojciec Romualda, ale mówię jako człowiek honoru. Jeśli mam mu co do zarzucenia, to chyba tylko to, że tego pana... jak mu tam?... pana Waldzińskiego, czy Waldzewskiego, nie zostawił na placu z kulą w boku, zamiast z kulą w kapeluszu; ale i tak dosyć satysfakcji. Po co się znęcać nad kanalią? — *Pardon Madame!* — skłonił się lekko przed Jerzicką, przepraszając ją spojrzeniem za użycie w zapale zbyt dobitnego wyrażenia.

Jerzicki nic się nie odzywał, ale robił rozmaite grymasy przy biurku, zarysowując już drugi arkusz bibuły i wzruszał znacząco ramionami; nie podzielał zdania marszałku, ani swojego teścia, miał widocznie odmienne w tej kwestyi poglądy.

— Myślicie, że to co pomoże? — wtrącił raz tylko swoją uwagę w rozmowę między starym Lackim a Fiszbaumem — śmieje się z tego starszłakowie!... przyczają się trochę i znowu ujadac zaczną, nie w *Ojcowiznie*, to gdzieindziej.

— Wtedy się im znowu uszu przytnie — odparł wyniosło pan Sylweryusz. Fiszbaum poruszył się nerwowo na wspomnienie nowego pojedynku:

— Daj pan pokój — rzekł z wystraszoną miną — po co robić takie przypuszczenia!... Ja myślę, że na tem już sprawa skończona.

Jerzicka wymknęła się z gabinetu szwagra i przez salon pobięła do sypialni siostry, aby jej na „dzień dobry” zanieść nowinę, która całe miasto już okrażała.

Za chwilę lokaj zameldował barona.

Krulle wyświeżony, wypachniony, sztywny, jak zwykle, z przymrużonemi oczyma wszedł z cylindrem i laską o przepysnej malachitowej gałce w rękę.

— *Eh bien, que ce qu'il y'a de nouveau?* — zaczął pofrancuzku — podobno duelowałeś się dzisiaj?... jak widzę szczęśliwie; *je vous félicite mon cher*. Dzień dobry panom...

— Pani Lackiej niema?

Skinął zdaleka ręką Jerzickiemu i przywitawszy się z teściem, mówił dalej: Henryeta mnie tu przysłała dowiedzieć się, jak się ta afera skończyła. *Vous êtes le héros du jour; on raconte le plus beau de l'histoire*, że przestrzeliłeś cylinder temu panu?... *est-ce vrai?* Nie wiedziałem, że szwagierek tak dzielnie strzela!...

Jerzicka uśmiechnęła się szyderczo, spoglądając z pod oka na barona, który jakby z wyrzutem dodał:

— A nie chciałeś ani razu pójść ze mną na polowanie; już cię podejrzewałem, że się nie umiesz obchodzić z bronią.

Z głębi salonu dały się słyszeć podniesione głosy kobiece i nagły wybuch płaczu Ludwika.

— Co tam się stało? — zawołał nagle pan Sylweryusz zaniepokojony, podczas gdy Romuald, odgadłszy sytuację, pośpieszył do żony, przy której zastał już i teściową i Jerzicką, i pannę Ernestynę. Za nim, korzystając z przywilejów wieku, poszli obaj ojcowie aż do budoaru pani Romualdowej, siedzącej w ranym negliżu pomiędzy matką i siostrą na szeszlougu.

Ludwika zanosila się od płaczu; wiadomość o pojedynku męża wstrząsnęła całym jej organizmem nerwowym, nie chciała wierzyć, aby Romualdowi żadne więcej niebezpieczeństwo nie groziło.

— Ja chcę go widzieć, ja chcę go widzieć w tej chwili... wy mnie oszukujecie — powtarzała, łkając z głową utuloną na piersiach matki.

— Ależ jestem, jestem! — łagodnie odezwał się Romuald, biorąc ją za drżącą, rozpaloną rękę, którą sobie oczy zasłaniała.

Rzuciła mu się w jednej chwili na szyję i w spazmatycznym płaczu i śmiechu wybuchnął cały jej niepokój i cała radość. Ścisłała go konwulsyjnie i obejmowała ramionami, jakby się obawiała, by z jej objęć nie wydarła go czyja przemoc.

— Ty niedobry, ty brzydki, ty niegodziwy!... tak mnie przestraszyć! — wyrzekała, zapominając o świadkach tej sceny małżeńskiej. — Mogli cię zabić, ranić śmiertelnie!...

Strumień świeżych łez trysnął z jej oczu.

— Ale to już wszystko skończone? ty się więcej bić nie będziesz? — spytała nagle gorączkowo, wpatrując się w niego wystraszona, z największą niepewnością w sercu. — Powiedz mi prawdę, to tylko raz? więcej nie pójdziesz z nikim się strzelać?... z nikim?..

Uspakajali ją wszyscy, nie słuchała nikogo, tylko jego jednego; pociągnęła go do kozetki w kącie budoaru, ukłękła u jego kolan i pocałunkami zaczęła okrywać ręce męża.

— Przyrzeknij mi, że się więcej narażać nie będziesz; powiedz mi, że to wszystko skończone. Mój kochany, nie zabijaj mnie, jabym tego drugi raz nie przeżyła, ja nie będę miała odtąd ani chwili spokoju, będę się ciągle obawiała o ciebie. Nachylił się do jej ucha i prosił szeptem, zawstydzony tą sceną:

— Proszę cię, nie bądź dzieckiem, Ludwiko! pomówimy o tem później, bez świadków.

— Przecież to sami swoi!...

Nie chciała wstać, głowę złożyła na jego kolanach i płakała, nie ją nie obchodzili ludzie, cały świat, rodzina. Była w tej chwili tylko żoną, drżącą o życie swego męża.

Pan Sylweryusz patrzył na synową u kolan syna, okiem nie ojca, ale widza w teatrze; przysiadając się do panny Ernestyny, rzekł z lekkim uśmiechem na ustach:

— Śliczna gruppa! — i wskazał na młodych małżonków, — możnaby z tego zrobić przepyszny obraz, prawda? Moja synowa w tym negliżyku wygląda cudownie; niepotrzebnie biedaczka tyle łez wylewa teraz, skoro już wszystko skończone, ale to nerwy!

Fiszbaum stanął przed żoną, chciał coś powiedzieć, zmienił jednak zamiar, patrzył się na nią tylko spojrzeniem, które mówiło:

— Roza, cóż ty na to? — i krzywił się pociesznie, jakby miał pieprzu pełno na języku.

Pani Rozalia była spokojną i zimną, jak porcelana.

— Trzeba teraz przyspieszyć wyjazd — szepnęła do męża; — a skubnąwszy zlekka pannę Ernestynę za rękaw, dała jej znak, aby się do niej przysiadła bliżej.

— Wiesz, wyjeżdżamy do Nizy — mówiła przyciszonym głosem, nie zmieniając ani na chwilę wyrazu twarzy.

— Tak? i kiedyż to?

— Może już za tydzień, wywozimy Ludkę z sobą.

— *Excellent!* to jej dobrze zrobi. Ale, ale, znajdziesz tam znajomą, miałam wczoraj list od brata, który dziś miał wyjechać z Nizy do Paryża; pisze mi, że spotkał Odoniecką z córką.

— Czy być może!...

— Tak; ma być zmieniona, mizerna, schudła, ale jej podobno z tem do twarzy. Przyjechała się leczyć z córką i Angielką swoją; zabawi aż do Maja.

Pani Rozalia zwróciła się do męża.

— Słyszałeś?... Odoniecka jest w Nizy.

Bankier przyjął tę wiadomość zrazu obojętnie, zanadto zajęty był swojemi myślami, ale po chwili rozbudził się wspomnieniem tak paszczytnej znajomości.

— Kto ci to powiedział?

— Ernestyna.

— Pani? jak pani zawsze wiesz o wszystkim nawet o tem, co się na końcu świata dzieje.

Przysiadł się do żony i jej towarzyszki i zaczął pofrancuzku rozmawiać o projekcie familijnej wycieczki na południe. Pan Sylweryusz na boku szeptał z Jerzicką ne temat małżeńskich nieporozumień, a w kącie na kozetce Ludwika tuliła się do męża i słuchała jego objaśnień, któremi starał się ją uspokoić.

W gabinecie Romualda Krulle pozostał ze szwagrem sam-na-sam; wyjął srebrną papierośnicę w kształcie wałeczka ze żłobkami i zapalił papierosa z monogramem i baronowską koroną!

Jerzicki przestał rysować, ręce włożył w kieszenie i, kołysząc się na krześle, zdawał się z uwagą przypatrywać szpiczastym nosom swoich butów.

— Słuchaj, baronie — zagadnął nagle szwagra — ty się strzelałeś kiedy?

Krulle spojrział na niego apatycznie i odparł:

— Miałem się strzelać raz — o kobietę.

— Przyszwoitą?...

— Nie bardzo.

— No i daliście sobie buzi?

— Mój przeciwnik mnie przeprosił; położyłem go trupem pod stół przy kolacji. Wypiliśmy w małym kółku dwanaście butelek szampa, a Lorcja dostała nowe kolczyki.

— Nazywała się Lorcją?... dobrze wiedzieć.

Baron się uśmiechnął na wspomnienie tej awanturki.

— To było dawno, jeszcze za kawalerskich czasów — dodał — dziś-byłm tego nie zrobił, ani ty?... prawda?

Jerzicki wyciągnął się, jak struna, że aż krzesło pod nim zatrzeszczało:

— Spodziewam się!... zwłaszcza o kobietę. Albo to warto?... Ludzie myślą, że to wielka odwaga stanąć na placu; staje się zawsze z tą nadzieją,

że przeciwnik chybi; błaża! nie więcej. Paf, paf!... i historia skończona. Ja nie lubię takiej brawury, szkoda prochu. Co świata z tego, choćby jednego durnia ubył; mądrzejszym z pewnością nie będzie, a mnie to wszystko jedno, czy świat składa się z samych osłów, czy z samych filozofów!—wolę nawet osłów, bo są zabawniejsi.

Barona te reflexy Jerzbickiego nudzić zaczęły; wstał, wziął swój cylinder i laskę, podał rękę szwagrowi i wyszedł.

Jerzbicki z krzesła przeniósł się na otomanę i ziewając, usadowił się na niej z nogami.

Czuł się niewyspanym dzisiaj; żona tak rano wyrwała go z łóżka wiadomością o pojedynku. Było dlaczego zrywać się ze snu... on wiedział z góry, że to się na niczem skończy. Powieki mu ciążyły; z dalszych apartamentów dochodziły odgłosy mieszanej rozmowy, sen go zmorzył, chciał się zdrzemnąć. Przez chwilę zdawało mu się, że ktoś u drzwi zadzwonił, że lokaj komuś otwierał i w przedpokoju odprawiał gościa; co go to obchodziło! zamknął oczy i próbował zasnąć, ale pomimo chęci i usiłowań nie mógł, coś mu dziwnie humor odebrało i drażniło go od samego rana. Może to wczesne zbudzenie a może ten szwagier, który się pojedynkował mimo to, że pojedynek, zdaniem Jerzbickiego, był tylko błażą i brawurą...

Odprawionym ode drzwi gościem był Slucki; wracał właśnie z redakcji „Ojcowizny“, gdzie Wolińskiemu rzucił rozdarty wexel pod nogi i z Waldzewskim miał przepawę; wyzywać chciał wszystkich po kolei, a jednak wyszedł udobruchany i przekonany, że za gorąco traktował całą sprawę. Woliński nie ułakł się jego nasrożonej miny. Powiedział mu krótko:

— Waryat jesteś; wiesz przecie, że ja się z zasady z nikim nie pojedynkuję. Daj mi spokój, nie mam czasu z tobą się kłócić teraz, numer trzeba przygotowywać.

— To mi wszystko jedno, sprawa honoru pierwsza!—krzyczał Slucki —zaczepiłeś nas, napadłeś, musisz mi dać satysfakcję. Ty, albo ktokolwiek, rozumiesz?... ja się ztąd nie ruszę ani na krok—słyszysz?...

Woliński poprawiał spokojnie artykuł wstępny.

— To się nie ruszaj.

— Zrobiliście infamią, wydrukowaliście paszkwil; tak się nie godzi. Ja jestem osobiście przez was dotknięty.

— Ty?... gdzie?... o tobie niema wzmianki w całym artykule.

Sluckiemu oczy omal nie wyskoczyły na wierzch.

— Jakto?... ty myślisz, że ja się nie poznałem na wszystkich docinkach waszych?... ja was znam!—wołał zaperzony.

Woliński odłożył pióro i ręce swoim zwyczajem skrzyżował na piersiach:

— Więc ty do siebie wzięłeś to wszystko?... a, to ci wieszuję.

— A do kogóż to było pite?

— Nie bądźże śmiesznym; chyba koniecznie szukasz awantury, to co innego.

— Ho, ho! wykręcasz się sianem, ale ty mnie znasz, ja się nie dam złapać.

— Właśnie, że cię znam; jesteś dobry chłop, tylko gorączka. Zawrócili ci głowę i podszczuli teraz na mnie.

— Nikt mnie nie podszczuł; ja sam wiem, co robię. Lacki dochodził swego, ja swego. Nie jestem ci nic winien, mam ręce wolne—przychodzę się ująć za sobą. Tak być nie może, to nie las, żeby z pałką napadać na przechodniów. Ja wam pokażę!

Woliński ramionami wzruszał.

— Zwaryowałeś!... Lacki, co innego, on przynajmniej miał prawo ujmować się za sobą, jako wasza głowa, ale ty?... zkad, dlaczego?...

— Ja się solidaryzuję z nimi; ty wiesz: po której stronie stoję, tego sprawy bronie.

Na pomoc Wolińskiemu przyszedł w samą porę Waldzewski, — Jaś jednym rzutem oka objął sytuację. Slucki, zobaczywszy go wchodzącego, zerwał się ku niemu.

— A, dobrze, że tu jesteś!... w takim razie. z tobą wolę mieć do czynienia; ty pisałeś artykuł?

nie krzycz, ja nikomu nie odmawiam satysfakcji, wiesz dobrze. Usiądź, pogadamy wpierw; zawsze ci się w głowie pali, mój Julku. Uwzięliście się, żeby mnie wyprawić na tamten świat—niech tak będzie; robicie obławę—róbcie. Cóż na to poradzić!... Spokojny ton i pozorna rezygnacja Waldzewskiego rozbroiły trochę Julka.

— Dobry wybraliście czas do tego—mówił dalej Waldzewski —właśnie teraz, kiedy nam potrzeba trzymać się wszystkimi siłami i czuwać nad interesami ogółu. Czytałeś dzisiejsze telegramy z Berlina? — spytał, niby niechcący, Wolińskiego. — Wam się w takiej chwili chce strzelać i poszukiwać swoich drobnych pretensyjek, zamiast poważnie skupiać się i radzić! No, ale to trudno, stara natura polska... Kłóćmy się, kłóćmy, choć się nad głową pali. Prywata górą, przecieżeśmy Polacy!...

Mówił to wszystko z jakimś melancholijnym odcieniem w głosie, z przymieszką umyślnej ironii; wiedział dobrze, iż ton i treść słów jego musza zrobić wrażenie na Sluckim.

Woliński głowę spuścił nad manuskryptem. Waldzewski, wzdychając, położył rękę na ramieniu zdetonowanego Julka:

— Oj niepoprawni, niepoprawni!...

Potem, podsuwając mu cienką bibułkę, zapisał niebieskim ołówkiem, rzekł:

— Masz, przeczytaj sobie dzisiejsze telegramy. Tym zręcznym zwrotem sprowadził uwagę Sluckiego na pole polityki bieżącej. Julek ani się spostrzegł, jak łatwo pozwał się przeciwnikowi swemu rozzbrajać; gniew jego gasnął, jak spalona garść słomy, serce miękło, energia go opuszczała, dał się wciągnąć w dyskusję i pozwolił Waldzewskiemu mówić bezustannie; z zaczępnego stanowiska przeszedł na odporne.

— Przecież mnie nie posądzisz, żebym swoje ja stawał wyżej nad sprawy ogółu!—mówił po półgodzinnej rozmowie z Waldzewskim, który go usunął w kąt i usadowił już przy sobie na kanapie przy piecu, otumaniając coraz bardziej sofistyczną swą frazeologią.

— Mój drogi — powtarzał mu Jaś—nie myśl, że ja cię chcę udobruchać dla tego, żebym ci nie stanął na placu; w każdej chwili tobie, czy komukolwiek, byle człowiek uczciwy i nie splamiony!... Ty sądzisz, że ja pisząc ten artykuł, nie czułem tego, ile was to kosztować będzie?... ja to zrobiłem z celem. Powiedziałem sobie: „Sięgnę do wnętrza twych trzewi i zatargam” — jak Słowacki; chodziło mi o dobro sprawy, bo wierzę mi Julku, wchodźcie na złą drogę!... więcej ci nie powiem w tej chwili.

Sluckiemu łzy się kręciły w oczach: zaczął rozrzewniać go szept Waldzewskiego i coraz więcej przekonywała argumentacja, chociaż się jej całą siłą opierał.

— Wszystko jedno — mówił już po godzinie, łagodnie jak baranek, zapomniawszy o osobistych urazach — nie w mówisz we mnie, żeście mieli słusność, ale obaj jesteście dobre chłopcy... Ty Jaśku strzelałeś się dzisiaj, a ta bestya Woliński poręczył za mnie, kiedy był goły, jak święty turecki. . jednak...

Waldzewski całował go w tej chwili z udaną serdecznością.

— Oj stary, stary!... dzieciak jesteś.

— Mój drogi, tylko mnie dzieciakiem nie nazywaj!...

Po dwóch godzinach wychodził z redakcji przejeżdżany, rozstrojony, przekonany, że za gorąco traktował całą sprawę „Ojcowizny” i że ten Waldzewski nie jest „taką podłą szelmą, jak ludzie powiadali.”

Przyszła mu myśl po drodze wstąpić do Romualda i pomówić z nim nawet w tej kwestyi, ale go lokaj odprawił ode drzwi słowami:

— Jaśnie pan ma gości.

Jerzbiocy, wracając dnia tego z wizyty u Romualdów, nie mówili nic do siebie przez całą drogę; ona tylko spoglądała niekiedy na niego z pod oka, a on umyślnie czy przypadkowo zdawał się unikać spojrzenia żony.

Nie mieli humoru oboje...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOBIETA W JAPONII.

Aż tak daleko!—pomyśli niejedna czytelniczka po przeczytaniu tego napisu. Tak jest, aż tak daleko; ale ta, czysto idealna wędrownica najzupełniej się oplaci, chociażby miała zaspokoić jedynie tylko ciekawość. Japonia od dwudziestu lat zwraca na siebie bardzo żywą uwagę Europy urzędowej; wysłużyła też sobie i prawo u Europy piszącej, literackiej. W r. 1868, dzięki energii kilku wyższych umysłów, na czele których stoi dziś sam władzca, Mikado, wszedł ten 40-0 miliony naród na drogę cywilizacji europejskiej, a kroczy nią tak szybko, że nietylko ma już kobiety umysłowo żyjące, kluby, towarzystwa, szkoły z programami dorównyującymi europejskim; ale nawet i pod tym względem nie pozostaje w tyle za Europą, że ma już i gałganki i prawdy, kwestyą modną i kwestyą kobiecą; a co już zupełnie stosunki japońskie do naszych zbliża, pomiędzy oboma temi kwestyami umiała Japonia ustalić ściśle zależność dwóch biegunowych przeciwieństw. W rzeczywistości kobieta nie da się od mody oderwać; w umysłowości moda robi współzawodnictwo kobiecie i im gdzie więcej kwestyi modnej, tem mniej kwestyi kobiecej, tem mniej myślenia i radzenia o obowiązkach i prawach kobiecości. *Tout comme chez nous.*

Po Mikadzie najwybitniejszymi ludźmi w rządzie byli od samego początku reformy: prezes ministrów Ito i minister spraw zagranicznych Inuje. Obaj oni popierali dzielnie sprawę ucylizowania kobiety japońskiej. Są to, wraz z samym Mikadem, wyżsi ludzie dziejowi: imiona ich nie zginą. Inuje zwłaszcza jaśnieje przedsiębiorczością, rozumem i tem, co stanowi najdroższy dar każdego reformatora: zdolnością ujmowania rozproszonych objawów życia społecznego w syntetyczną całość. Nieporozumienia o jurydyką i konsularną i zbyt może wielka ustępczość dla Europy pozbawiły, we Wrześniu r. b., Japonię wielce pożytecznej działalności tego człowieka, na którym nie znać owego pierwotnego grzechu niższości rasy—stanowiącej ulubiony temat, nietylko uczonych, ale nawet pierwszego lepszego nieponia europejskiego, co-to płynie szukać szczęścia za morzami. Od Inujego właściwie rozpoczął się cały siew dziś tak świetnie już plonujący. On pierwszy wszczął walkę ze swoim *dajmosem*, on był pierwszym buntownikiem przeciwko prawej władzy feudalnej. Poszli za nim inni; ruszył się i sam dajry-mikado, władzca duchowny, trzymany w ciągłym obłędzie przez kubo-tajkunat, i dopiero po takim zburzeniu samej warowni zaśniedziałego porządku politycznego, społecznego i obyczajowego, można było pomyśleć o otworzeniu drzwi i okien na ludzkość, na tę jej wielką rodzinę europejską, która już trudy swoje, złe czy dobre, nie zawsze i nie we wszystkim doskonale, mierzy długim szeregiem wieków.

Po wytworzeniu już bardzo wielu instytucji państwowych Ito, Inuje, Tojama i inni ludzie przodujący narodowi spostrzegli, że skutki odradzających prądów dopóty zawodnemi będą, dopóki reforma nie przekroczy progów domu i rodziny. Postanowiono tedy podnieść życie domowe i rodzinne, a to bez podniesienia kobiety wykonać się nie dawało. Polepszenie jej losu, postawienie na wyższym stopniu jej umysłowości i praw społecznych stało się hasłem reformatorów. Radykalni myśliciele wołali: „Nie mężczyźni ale kobiety powinniśmy do Europy i Ameryki posyłać”—czując, że na zmianę obyczajów i stosunków obyczajowych, na podniesienie skali życia ogólnego, na uzacnienie domowego ogniska, tylko kobieta wpływ trwały wyrzucić może. Z tego poczucia zrodziła się kwestya kobieca. W rozwiązywaniu jej doraźnym trzy objawiły się kierunki: jedni chcieli tylko zdrzeć skórę z cywilizacji europejskiej i ubrać w nią kobietę japońską; drudzy, głębsi, zapragnęli poprawić wychowanie, zmienić prawne warunki życia i dzia-

łałości, wykształcić umysł i otworzyć go dla wyższych zadań, nad te, jakie się w głębi rodziny rozwiązywać mogą; inni nakoniec, głównie dziennikarze z pod stempla amerykańskiego, poszli najdalej, bo zażądali zupełnego wyzwolenia kobiety z pod monopolu rodziny, przygnębiającego obyczaju i uświęconej ciemnoty, i wprowadzenia jej już bezpośrednio w ruch społeczny.

Co uczyniła rzeczywistość z temi trzema kierunkami myśli?

Jeden z podróżników niemieckich, tak pisze o kobietach japońskich:

„Każdy Europejczyk przybywający tutaj ujęty zostaje odrazu, jeśli nie oczarowany, ich wrodzonym wdziękiem, ich powabem, wdzięcznymi ruchami, słodkim, skromnym, a jednak pewnym siebie obejściem się. Wrażenie to jest jeszcze silniejszym, jeśli się je wyniosło z życia w warstwach niższych, zwłaszcza w kupiectwie. Skromność najzupełniejsza nie przeszkadza tym kobietom występować z pewną stanowczością i swobodą, które wynikają tylko z poczucia własnej godności i siły. Kobiety wyższych warstw są bardziej skrepowane i nie sprawiają też tak dodatniego wrażenia. Wewnątrz domu, przecież w życiu rodzinnym do ostatnich czasów zarówno pojęcie o stanowisku kobiety, jak i sposób obchodzenia się z nią bardziej Wschód, niż Europę pominął. Posłuszeństwo tylko i pokorę od najpięknij młodości wdrażają matki w serca swych córek, nie im już więcej nie dając. *Onna Czujō*—przewodnik moralności—uczy, że kobieta winna jest troiste posłuszeństwo: w młodości rodzicom, w małżeństwie mężowi, w starości dzieciom własnym. Wykształcenie kobiety japońskiej dotychczas ograniczało się na nauce czytania pisma *Katahana* i innego *Hirakana*, rzadkokiedy i języka chińskiego, trochy rachunków, ale dużo tańca i muzyki. W miejsce „rzadko“ i „chińskiego“, podstawmy „zawsze“ i „francuzkiego“, a będziemy mieli wątpliwość: czy tu rzeczywiście mowa o samej tylko Japonii...

Kobieta japońska, w warstwach nietkniętych jeszcze przez ruch postępowy, w cztertnastym roku życia idzie, a raczej wypchnięta zostaje, za męża. W domach staroświeckich, jako żona nie ma prawa jeść z mężem w jednym pokoju—jest tylko pierwszą niewolnicą tyrańca jegomości, w wyższych stanach społecznych niekoniecznie nawet niewolnicą najlepiej kochaną. Przykuta do gospodarstwa, rzadko kiedy pokazuje się za domem. Mąż niesłychanie łatwo rozwieść się z nią może; wystarcza mu do tego jej nieposłuszeństwo, nieuszanowanie dla rodziców mężowskich, niewierność, brak błogosławieństwa bożego—a nawet—gadatliwość! W każdym z tych wypadków mąż zwraca żonę tam, z kąd ją wziął, i samo odesłanie jej rodzicom stanowi już akt rozwodowy. Po śmierci męża żona dostaje się pod władzę pełnoletnich swych synów, którym przecież *Onna Czujō* nakazuje pielęgnować matkę, karmić i osłaniać, na podobieństwo „młodych kruzyczek, opiekujących się swemi starami.“ Widocznie kruki japońskie muszą mieć wielce łagodne obyczaje.

Stanowisko kobiety było zatem mocno upośledzone i prowadzić musiało do przygnębienia i gnuśności. Pracę reformatorską rozpoczęto—od fryzury i obuwia; głowę inaczej uczesano, a nogę inaczej obuto. Kobieta nie miała czego żałować. Wysokie wieże na głowie nieraz ledwie co tydzień przebudowywane być mogły. Dziś ulubionym stylem czesania głowy jest dla Japonki styl grecki. Wyborem tym dowodzą one tylko dobrego smaku; wdzięki ich wiele zyskały przez nowy układ włosów. Drewniane chodaki na wysokich słupkach ustępują coraz bardziej przed zgrabnym europejskim trzewikiem. Haniebny zwyczaj czernienia zębów i golenia brwi—z każdym dniem znika. W przeszłym roku wreszcie cesarzowa, do której należy regulowanie wszelkich spraw ogólnych kobiecości, wydała rozkaz, aby dany dworu nie ukazywały się inaczej, tylko w stroju europejskim. Rozkaz ten dał zasadniczy ton obyczajom. Wszystkie kobiety, nietylko zamożniejsze i wyżej postawione, ale i średnie, rzuciły się do sukni i gorsetu europejskiego. Lekarze ubolewają nad tą reformą i w imię ludzkości i hy-

gieny żałują dawnego stroju narodowego Japonki. Składał się on cały z bardzo szerokiego i długiego szlafroka, ujętego szerokim tęgim pasem (*Obi*). To było wszystko. Nigdzie nacisku, żadnej sznurówki, najmniejszego ściśnięcia: doskonała swoboda ruchów zapewniona dla ciała. Japonka nie potrzebowała nigdy mdleć ze zbytniego sznurowania się, nigdy również z tego powodu nie chorowała: a jakże często zdarza się to w Europie! „Dawny strój—pisze podróżnik—i zdrowie zapewniał i skromność zabezpieczał, i nie było w nim miejsca na dziwactwa takie, jak dzisiejsze turniury.“ Obywał się bez klejnotów, nie ulegał kaprysom mody, służył długo, mało kosztował—i przecież nie czynił kobiety japońskiej szpetną. Bogate sute pasy były wprawdzie drogocenne, ale, przechodziły z matki na córkę i nieraz w czwartym jeszcze pokoleniu funkcją swą dobrze pełniły. Obecnie wszystkie te względy już nie ważą: nowe sitko na kolek, stare pod stół. Rzucono się namiętnie do stroju europejskiego, a już w roku bieżącym wydano dekret nakazujący urzędnikom klas wyższych żony swe ubierać poeuropejsku. Mężczyźni dawno już strój europejski przyjęli—nieraz w zabawnych kombinacjach. Dla lekkiej kawalerii ludowej w Tokio ulubionym ubiorem od wyjścia jest frak, a małe dzieciaki ubierają się w cylindry.

Nowy strój zdobył sobie nowe towarzystwo. Kobiety japońskie w Tokio zaczęły bywać u żon bardzo tu licznych przedstawicieli obcych państw, konsulów, urzędników służby telegraficznej i pocztowej, wreszcie zamożniejszych kupców. W kołach europejskich nie było już tej zimy balów bez znakomitszych kobiet japońskich, które w lecie nawet uczyły się naszych tańców. Oczywiście, dom bąduje się od dachu, bo to zawsze przyjemniejsze. Nad wszelkie spodziewanie kobieta japońska nie w nowym stroju i w nowym towarzystwie nie straciła. Korrespondent poważnej „Allg. Ztg.“ zapewnia, że Japonka umie się obracać pomiędzy Europejczykami, ze zwykłym sobie wdziękiem i pewnością. Powoli i mieszkania japońskie zmieniają swój wygląd na wzór europejski. Kobiety, bywając w świecie, przyjmują u siebie. Towarzystwo staje się potrzebą. Pojawiają się już kluby kobiece. Pani generałowa *Kat-Sura*, żona pomocnika ministra wojny, założyła związek dam japońskich i niemieckich, który zbiera się na rozmowy, czytanie utworów i rozpraw żywiej zajmujących, nawet na wykłady w przedmiotach obchodzących kobietę.

Od poluru zaczęto, ale się na polurze nie zatrzymano. Zwykle to prawo udzielania się cywilizacji, że działanie zaczyna się od znamion najbardziej powierzchownych, jeżeli nie od wręcz ujemnych, jak naprzykład pijaństwo ludów Oceanii—przejęte od Europejczyków. Jeszcze nie marżono w Japonii o narzucaniu stroju europejskiego, kiedy już zaprowadzano szkoły, nawet specjalne, nawet akademie, będące niejako uniwersytetami dla kobiet. Szkoły ludowe stały się przedmiotem szczególnej pieczołowitości rządu. Urządzono seminaria nauczycielskie kobiece, dla dzieci ludu stołecznego powstają w Tokio, liczącem milion mieszkańców, — coraz to nowe Ogrody Froebrowskie. We wszystkich szkołach dziewczęcych nauka robót ręcznych jest obowiązkowa. W wielu wyższych szkołach kobiecych stolicy istnieją już wykłady francuzkie, niemieckie i angielskie. Bogatsi rodzice nietylko synów, ale i córki wysyłają już do Europy dla wykończenia edukacji.

Z pomiędzy kobiet japońskich żadna nie wzięła tak żywo do serca tego całego ruchu wyzwolenia, jak pani hrabina *Aoki*, żona długoletniego ambasadora Japonii przy dworze berlińskim, a obecnie wysokiego dostojnika w kraju. Jest ona Niemką z pochodzenia — należy do jednego ze starych rodów pomorskich. Wpływ jej na podniesienie, nietylko towarzyskiego, ale i społecznego, stanowiska kobiet w Japonii był bardzo doniosłym.

Pod orzeźwiająjącym powiewem reform politycznych, przedsiębranych przez państwo, te znowu reformy, które zależeć będą zawsze, w najbardziej nawet samowładnym rządzie, więcej od jednostek, niż od urzędów—nie tracą nic ze swego młodzień-

czego rozpędu, i obudzają jędrne, czerstwe siły w uspijonych tylko przez wadliwą organizację naturach. Nie trzeba przytem mniemać, aby przyjmowanie obcej oświaty, nauki, zewnętrznej ogłady i porządków publicznych—czyniło Japonczyków kosmopolitami, obojętnymi na własną narodowość i własny byt niepodległy. Wcale nie: garnąc się do cywilizacji i kultury wyższej, czynią to przez uznanie tej wyższości, a nie przez ślepe lgnienie do cudzoziemczyzny. Obce dobra nie przytłumiają w nich poczucia własnej istoty. Cudzoziemcy są tylko rozsądnymi postępu. Stopniowo oczyszczają się z nich urzędy i szkoły wyższe; przyjmowanie strojów łączących się z myślą wyrugowania materii zagranicznych; zbudzona, wraz z ześrodkowaniem się państwa, samowiedza narodowa uważa za ujmę pozwalanie Europie na wyjątkowe sądownictwo konsularne, a nierozważne zobowiązanie się w duchu wręcz przeciwnym, przyjęte przez człowieka wielkiej zasługi i wziętości, uczyniło go w jednej chwili niepopularnym i zmusiło do ustąpienia z wysokiego urzędu.

Ruch kobiecy zaczyna wchodzić pod ster idei chrześcijańskiej. Najgorliwszy zapaśnik w walce o podniesienie społeczne kobiety, rodowity Japonczyk, professor *Tojama*, wydał niedawno broszurę „Reforma socyalna i chrześcijaństwo“, w której wręcz oświadcza, że zadawałające rozwiązanie kwestyi kobiecej znaleźć można tylko na podstawie chrześcijaństwa. Wyższość swoją zawdzięczają narody europejskie—woła do ziomków swoich *Tojama*—nie aryjskiej swej rasy, ale chrześcijańskiej swej religii. Ona to stanowi podkład całej ich kultury i cywilizacji europejskiej; duchowi chrześcijaństwa tylko zawdzięcza i kobieta w Europie wysokie swoje stanowisko. Ciemni tylko zupełnie lub tchórze mogą zalecać europejską kulturę bez europejskiej religii. Potrzeba odrzucić od siebie zasady Konfucjusza (*Szuto*) Buddy lub dawny szamanizm (*Xinto*) a przyjąć wyższe, szlachetniejsze od nich zasady Chrześcijaństwa. Nowa wiara podniesie kobietę japońską.

Publicysta, zalecając w ten sposób chrześcijaństwo, wyraża tylko pragnienia licznych już dziś kół inteligencji w Japonii. Wytrwała działalność myśli w raz obranym kierunku wytworzy całe stronnictwo, a wtedy przyjęcie Chrześcijaństwa—oczywiście, w jego formie katolickiej,—wejdzie na porządek dzienny i już się z niego wyrugować nie da. Dla kobiety japońskiej będzie chrześcijaństwo dźwignią ogromną.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 31 Października 1887 r.

Nowy skandal.—Sprawa Caffarella i spółki.—General d'Andlau pani Limouzin, Wilson i inni.—Przenosiny pana zięcia.—Położenie pana Grégoire.—Zemsta kobieca.—Symptomata rozprzeżenia i oficjalny rygorizm.—Nowa komedia Gondineta „Dégommé“ i wystąpienie policji.—Otwarcie nowego liceum dla panien w Paryżu i projekt zniesienia zakładów, tak zwanych „Domów Legii Honorowej“.—Co się pod tem wszystkim ukrywa?—Nowy konkurs internatu szpitali.—Panna Edwards nowy kandydat do tej posady.—Gorszące sceny w auli.—Necrologi: Admiral Jauréguiberry.—Em. Gonzalez.—P. de Vieil. Castel.—Cuvillier-Fleury.

(Dokończenie).

Nowa komedia p. Gondineta, ma tytuł: *Dégommé*, dosłownie byłoby to popolsku *Odklejony*, ale w przenośniu, a pospolitem znaczeniu, wyraża to urzędnika, który stracił miejsce. Sztuka to jest czysto francuzka, bardzo paryzka w treści i w stylu i w tem jej największa zaleta, że autor dla nowej hierarchii sądowniczej nie żałuje dowcipu i werwy, aby ją naszpikować delikatnie na wszystkie strony. Ale muszę wam w kilku słowach opowiedzieć treść komedyi.

P. de Préfaillies, jeden z jej bohaterów, młody, szykowny światowiec, pełen wziętości u płci pięknej, wielki pan małego miasteczka, Donzuan w swym rodzaju, posiada znakomitą kolekcją

miłosnych bilecików, a nawet kilku-ćwiartkowych listów—kobiety tak lubią pisać. Chaloupin, Leporello tego Donzuana, kradnie ten skarb tajemnic, z nadzieją, że go łatwo spienięży za wysoką cenę.

Na nieszczęście swoje, Chaloupin nie przestając na oryginałach, które pochodziły ze źródeł mniej górnych, zaczął fabrykować nowe, a wskutek skargi jakiejś pani de Blossac, pociągnięty został do odpowiedzialności sądowej za fałszerstwo i za wymaganie pieniędzy pod zagrożeniem. Poruszona w ten sposób sprawiedliwość, odsyła go wraz z całą swą kolekcją listów miłosnych przed sąd przysięgłych.

Takie jest główne wyjście tej sztuki. Na prowincyi i wobec towarzystwa, w którym de Préfaillles zbierał swoje najświetniejsze laury, sprawa obudza niezmierną ciekawość publiczną, i dreszczem przejmując w głębi serca, niejedną z tych wdzięcznych, powiewnych postaci, które się przesunęły tajemnie po ognistym horyzoncie Donzuana.

Pomiędzy temi grzesznymi duszami znajduje się pani Blanka Chevrette, żona jednego z najmłodszych deputowanych parlamentu, roztrzepanego światowca i próżniaka w całym znaczeniu tego słowa. Blanka, zmuszona oddać mu rękę, kochała w skrytości serca de Préfaillles'a i miała tę niedarowaną słabość, przypomnieć mu w listach, nakształt Heloizy, dawne wzruszenia serca, dawne marzenia o szczęściu i t. d. I oto cały kryminal tej młodej mężatki, za który gorzeć ma biedna w piekle po same łopatki. Drzy więc biedactwo! bo co na to powie, nietylko jej mąż, ale generalny prokurator przy sądzie przysięgłych, człowiek znany ze swych sercowych zasad, a jej własny ojciec—niestety!

Jak to jest zwykle u francuzkich pisarzy: początek zadziwia świetnością i zręcznym związaniem akcji, ale następnie, nie mogąc się utrzymać na tej szczęśliwej wysokości, dowcipem i pieprznymi słówkami stara się wyjść z kłopotu—i tu więc, kiedy zrozpaczona kobiecina, starając się zażegnać straszliwą domową burzę, wyznaje wszystko przed ojcem, minister, potrzebując miejsca w Izbie dla jednego z koryfeuszów rządzącego stronnictwa, ofiaruje młodemu Chevrette'owi w zamian za deputacyą, posadę prokuratora generalnego, właśnie na miejsce jego teścia. Chevrette ofiarę z zapalem przyjmuje, i oto w jaki sposób teść jego, staje się owym *Odklejonym*, z tytułu komedyi.

Tu można powiedzieć, że cały interes sztuki upada. Wchodzimy w zakres tak zwanych wodospadów (*cascades*), gdzie autor ratuje się dowcipem, jeżeli go posiada i błyskotką słówek, które się sypią, jak z worka. Zatem odklejeniem teścia, dla przyklejenia zięcia, idzie w ślad i ta wiadomość, że w onej straszliwej pluce sprawy Chaloupin, niema ani jednego listu, nietylko p. Chevrette, ale żadnej z dam światowych, gdyż rycerski de Préfaillles oddawał listy tej kategorii na spalanie—kończy się więc wszystko, jak tu powiadają, na *rybim ogonie*. Cała bowiem druga połowa sztuki poświęcona jest żartom i dowcipom, które wywołuje odklejenie teścia i przyklejenie zięcia, z których pierwszy ma się rozumieć piorunuje, a drugi pod niebiosa wynosi doskonałość i sprężystość rządu. Wszystko wraca do domowego porządku, pokój małżeński, niczem nie zakłócony, zapanowuje w domu Chevrette'a, Ale to już nie ma nic wspólnego z tem, co zapowiadał początek komedyi; zbrakło autorowi oddechu.

W jednej ze scen drugiego aktu nowo-przybyły prokurator generalny każe sobie podać prokuratora swego poprzednika, ogląda ją, przymierza i pozwala sobie uwag i żartów, które, chociaż są czystem i naciąganiem błażństwem, bawią Francuzów; bo jak wiece, są oni zawsze w pogoni za sprytem i słówkiem. Na tę więc scenę minister sprawiedliwości położył swe *veto*, żądając, aby ta szata sądowej powagi nie była wystawiana w ten sposób na poniewierkę! Potrzeba więc było, kilkodziowej rozprawy, nim się najpierw porozumiano o co idzie, a następnie nim się zgodzono, jak wyjść z matni. Znaleziono sposób: Chevrette nie przymierza za długiej dlań

sukni, ogląda ją tylko, i to samo, co do niej stosował, gdy ją miał na sobie, toż samo wypowiada do leżącej na poręczu krzesła. Tak-to ten najdowcipniejszy z narodów umie wymijać wszelkie trudności—jak się u nas mówić zwykło—„wykręcając się sianem”—*E sempre bene!*

W tych dniach otwarto w Paryżu drugie zporządku liceum; pierwsze dostało nazwę: „Liceum Fenelona“, drugie „Liceum Racine'a“. W urzędowych przemówieniach wskazano wielkie cele, jakie spodziewa się osiągnąć Rzeczpospolita z przygotowania prawdziwych matron demokratycznych—bez Boga, ni pana! Jednakże p. minister nie zaniedbał przypomnieć słuchaczom, że znakomity poeta, wybrany na patrona nowego zakładu, ma do tego szczególne kwalifikacje i prawo, nietylko jako autor *Fedry* i *Estery*, jakby umyślnie poświęconych *ad usum* płci pięknej, ale jako współpracownik i doradca pani de Maintenon, w jej liceum St. Cyr. Nie bez pewnego zadziwienia usłyszało zgromadzenie ministra naszego czasu powołującego się do wspomnień i powagi sławnej towarzyszyki Ludwika XIV.

Ale dzisiaj rządowi ludzie we Francyi, jeśli jedną ręką zdają się otwierać drogę do wyższej oświaty i do postępu, drugą zacierają starannie wszelki ślad instytucji dawniejszych, chociażby najlepszych i najużyteczniejszych dla kraju. Tak, w tej właśnie chwili, gdy minister oświecenia otwierał z ze słowami obietnic i zachęty, podjęto nowe liceum dla dziewcząt, kommissya budżetowa Izby Deputowanych przyjęła wniosek zniesienia trzech zakładów naukowych dla pańien znanych pod nazwą „Zakładów v. Domów legii honorowej“, w Saint-Denis, Ecouen i w „Lozach.“

Zakłady te, fundacyi Napoleona I-go, były przeznaczone wyłącznie do wychowywania i kształcenia córek zasłużonych wojskowych. Cesarz wyznaczył fundusz w odsetkach na utrzymanie w tych zakładach przeszło ośmiuset pańien. Na czele instytucji miały się znajdować wdowy po zasłużonych generałach i oficerach wyższych stopni. Dziewczęta pobierać tam miały nauki i mieć utrzymanie bezpłatnie córki generałów i sztab officerów, w liczbie czterechset w Saint-Denis, officerów niższych stopni w liczbie dwóchset w Ecouen i nakoniec podoficerów również w liczbie dwóchset w „Lozach.“

Wszystkie te zakłady zostawały pod kierunkiem nadzorczym kanclerza Legii Honorowej, a wiązały się z instytucją tego orderu wspólną dotacyą, i tym łącznikiem, jakby rodzinnym, że wszyscy ci ojcowie pensyonarek zasłużenie starzy żołnierze, byli członkami legii honorowej, że ojczyzna, która ozdobiła pierś ojców, daje opiekę ich dzieciom.

Tym sposobem ośmset młodych dziewcząt, po największej części ubogich rodziców, żyjących z wysłużonej emerytury, wysłużonej kosztem waleczności i ran poniesionych w obronie ojczyzny, znajdowały tam wychowanie, dające możność w potrzebie zostania nauczycielkami, w zakładach publicznych albo prywatnych, lub w domach zamożnych współobywateli. Pod względem porządku, czystości i dobrobytu były te licea trzymane na stopie godnej zamożnych już rodzin.

Otóż owa kommissya pod wpływem sekcyjarskiej polityki i tępej ekonomii, postanowiła skasować te trzy zakłady, jednym pociągnięciem pióra, pozostawiając na ich miejscu, ośmset stypendyów, oddanych w ręce ministra i rady miejskiej i przeznaczonych do pomnożenia funduszków nowego liceum.

Zapewne, jest to dowcipny i ławy sposób, sprrowadzenia siły uczennic do nowego zakładu; ale czy wojsko, czy kraj, czy starzy zasłużeni żołnierze przyjmą z radością tę reformę, która nietylko, że zmienia radykalnie, bez żadnego ulepszenia cały dawny systemat wychowania ich córek, ale nadto jeszcze pomnaża ich osobiste wydatki?

W zakładach Legii Honorowej, jak powiedziałem wyżej, utrzymanie, nauka i wszystko było bezpłatne; w liceum do tych tysiąca siedmiedziesięciu dwóch franków, które przedstawia stypendyów (*la bourse*, nasza *bursa* średniowieczna), rodzice będą zmuszeni dołożyć wyprawę dosyć zbyt-

kowną opranie i inne potrzeby panienci, to jest przeszło 600 franków. Niejedna rodzina znajdzie się w kłopotcie. Można się tylko spodziewać, że, chociaż kommissya uchwaliła zmianę jednogłębnie to po rozprawach w Izbach, po wdaniu się generała Faidherbe, kanclerza Legii Honorowej, zamach powstrzymany zostanie—ale czy na długo?

Ponieważ jesteśmy w trakcie rozprawiania o rzeczach dotyczących się wychowania kobiet we Francyi, nie możemy więc zamilczeć o tem, co zaszło 14 b. m., przy otwarciu konkursu dorocznego, na posadę internatu medycznego w szpitalach paryzkich. Ale nim opowiemy, co zaszło na tem posiedzeniu, słówko o głównej bohaterce tego zajścia.

Pamiętacie zapewne, że blisko rok temu zdałem wam szczegółową sprawę z egzaminów odbytych świetnie przez pannę Klemkę i następnie dopuszczenie jej do sprawowania internatu, to jest: niesienia pomocy chorym w jednym ze szpitali Paryża. Był to fakt pierwszy i wyjątkowy, dopuszczenia kobiety do spełniania tego uciążliwego, niebezpiecznego często, a niestosownego zwykle, dla jej płci obowiązku; z wyjątkiem chyba specjalnego szpitala Miłosierdzia, (*Charité*). Wspomniałem też wówczas, jak i co mówiono o nowym zupełnie porządku, wychodzącym z utartych kolein. Sam ja byłem przeciwny temu, bo zdawało mi się, i dziś jeszcze jestem tego zdania, że dla kobiety, choćby lekarki nawet, niewłaściwą być musi praktyka w zakładach publicznych, gdzie płeć męzka przeważnie zajmuje miejsce i gdzie choroby, jak ludzie, tak strasznie są zmieszane, co do charakteru i natury. Ale ponieważ ten fakt jest już spełniony, a panna Klemka odważnie i umiejętnie odpowiedziała swemu zadaniu, nie mamy więc potrzeby wracać do kwestyi, która sporną już być przestaje.

Ale oto dziś, znowu takasama kwestya internatu, to jest egzaminu do otrzymania posady, wszczęła się z innego powodu. I znowu tak się stało, że w pierwszym rzędzie współubiegających się znalazła się kobieta—cudzoziemka, jak tamta, a której zdolności i nauka, zdawały się zapowiadać najpierw niechybny tryumf, tą kobietą jest Angielka panna Blanka Edwards, jedna z najbystrzejszych uczniów i uczennic fakultetu medycznego.

Tym razem, wyznając to ze smutkiem, współubiegający się uczniowie płci męskiej postanowili zrobić manifestacyą mającą na celu niedopuszczenie panny Edwards do konkursu, fundując się na tem, że przepisy regulaminu wymagają od każdego z kandydatów 23 lat skończonych wieku, a tych—o radości!—panna Edwards nie ma jeszcze. Manifestacya, niestety, odbyła się dość smutnie, bo opponenci w sposób nieprzyzwoity i grubiański, krzykiem, świstem i wrzaskiem, chcieli zmusić pannę Edwards do opuszczenia sali konkursowej.—„Wychodź, Blanko! wychodź (*sortez, Blanchel!*)”—krzyczeli na wszystkie tony, ale odważna dziewczyna, z uśmiechem dobrego koleżeństwa, przyjmowała to za żarty i pozostała na miejscu. Wtenczas zmieniono taktykę i niedozwolo przewodniczącemu przyjść do głosu i rozpocząć egzaminu. Konkurs zatem odroczonej został do następnego poniedziałku, to jest do d. 17 z. m. Tym razem, aby uniknąć gorszącej sceny, przedsięwzięto surowe środki, nie wpuszczono do auli nikogo, oprócz stających rzeczywiście już do konkursu. Posiedzenie zatem odbyło się spokojnie, ale ponieważ niewiadomo jeszcze dotąd, jaki był wypadek tych egzaminów, sprawa więc wyboru kandydatów jest w zawieszonym. Zda się tylko, że żadnej niema wątpliwości, co do powodzenia panny Edwards, chyba, że fakultet utrzyma *stricte* rozporządzenie co do wieku.

Jakkolwiekby, panowie studenci francuzcy, nie popisali się tym razem, zawsze szlachetna młodzież dała się zwrócić z dobrej drogi, kilku podlegaczom i uprzejmość tradycyjna i dobre wychowanie, na które liczyła panna Edwards, co się malowało w jej dobrych i łagodnych oczach, nie osobiłi wcale zdaly examen. Tego bowiem rodzaju nietolerancya; wobec kobiety cudzo-

ziemki, niejakiejs tam intrygantki, ale pracowniej, dzielnej i pełnej zdatości i nauki, dowodzi, że goniąc za zyskiem i miejscem wszelkiego rodzaju, poziom charakteru narodowego dziwnie się zniżył. Ale dajmy już pokój tej drażliwej sprawie. Smutny czeka nas obowiązek.

Oto Francya w tej chwili ciężkie poniosła straty, czterech znakomitych ludzi zstąpiło do grobu, a w tej liczbie jeden z najznakomitszych wodzów jej marynarki, Admirał Jauréguiberry, zakończył chwalebny swój żywot. Był to, nie tylko waleczny wódz na morzu i na lądzie, ale nadewszystko był to znakomity i wielkiego charakteru człowiek. W ostatniej, francuzko-niemieckiej wojnie, dowodząc dywizją spieszonych marynarzy, a następnie całym korpusem piechoty, dał dowody takiej biegłości, jako wódz, i tak zimnej, nieustraszonej odwagi, jako żołnierz, że go niedarmo przezwano wówczas: „Lwem Pyreńskim.” Był bowiem z rodu Baskiem, pochodził z tego tajemniczego szczepu, gdzie ludzie wielkich charakterów nierzadko spotykać się dają. Twardy, jak jego nazwisko, był on jedną z tych milczących postaci, ku którym zwrócone są oczy Francji—i ku którym zmiernie wszystkie nadzieje lepszej przyszłości. Niestety, i ta postać zniknęła z przed oczu.

Z trzech zmarłych literatów najpopularniejszym był bez zaprzeczenia Emanuel Gonzalez, nietyle jako znakomity pisarz, ile jako siła niesłychanie ruchliwa i czynna, we wszystkich kwestiach dotyczących się stowarzyszenia: „des hommes des lettres”, którego nieboszczyk był jednym z pierwszych założycieli i pozostał do śmierci honorowym prezesem i dożywotnim delegatem. Urodzony w 1815 r., z rodziny hiszpańskiej, której nadał szlachectwo Karol V w Nicei, pozostał on do śmierci wiernym dawnej ojczyźnie, którą zawsze wspominał z pewną gorącą i żywą werwą przebijającą się w całej zresztą postaci o widomych cechach rasy hiszpańskiej.

Hr. Horacy de Vieil-Castel, jeden z dziekanów Akademii Francuzkiej, (rodził się w 1797 r.) i p. Cuvillier-Fleury (urodzony w 1802 r.), członek tejże Akademii, zmarli niedługo jeden po drugim. Należeli obydwaj do tej świetnej plejady z czasów Ludwika-Filipa, której tacy koryfeusze, jak Balzac, W. Hugo, Lamartine, Musset, Dumas i t. d., tak jasnym blaskiem okryli ówczesną literaturę francuzką.

Hrabiego de Vieil-Castel wiek sędziwy od dawna już trzymał zdala od tego ogniska, w którym się palą najżywsze inteligencje i najlepsze serca; nie znała go już prawie dzisiejsza publiczność. Przeciwnie, Cuvillier-Fleury do dni ostatnich pozostał na swej placówce, jako jeden z głównych redaktorów „Debatów.” Przypomniał się on szczególnie Paryżanom, kiedy, jako ówczesny Prezes Akademii Francuzkiej, przyjmował nowego akademika, księcia d'Aumale, dawniejszego wychowanka i ucznia swojego, po trzydziestu latach. Szorstki w obejściu, nosił na twarzy kapryśnej trochę, wyraz tej dumnej powagi, jaką mu nadało jego urzędowe stanowisko niegdyś w rodzinie królewskiej, był bowiem ochmistrem królewicza Henryka, księcia d'Aumale. Nie przeszkadzało to wcale jego powołaniu, a zaostrzało owszem jego pióro i tak już pochopne do skrzypiących i złośliwych zwrotów. Jako krytyk literacki *Jour. des Débats*, zostawił on wiele współczesnych portretów, mistrzowską skreślonych ręką.

Kronika działalności kobiecej.

— Kurs malarstwa dekoracyjnego i stosownego do przemysłu rozpoczął się w zakładzie hr. Plater przy ulicy Pięknej, d. 4 Listopada. Lekcje odbywają się dwa razy na tydzień, we Wtorki i Piątki. Opłata miesięczna rs. 5.

— P. Helena Glücksberg przełożyła na język francuzki piękną, gorąco napisaną powieść pod

tytułem: *Z popiołów* Jeske Chońskiego, i przekład ten drukuje się obecnie w przeglądzie belgijskim: „Revue Générale”.

— Pani Julia Klauzińska objęła miejsce lekarza zarządzającego w przytułku ubogich matek N 4.

— W Piotrkowie skończył się z dniem ostatnim Października półroczny kurs nauki koronek klockowych. Nauka ta prowadzona jest w Piotrkowie już lat cztery. Przez trzy pierwsze lata nauczycielką była p. Stanisława Przewóska, uczennica warszawskiej szkoły koronkarstwa p. Heleny Gabryelowej. W ostatnim roku prowadziła naukę p. Anna Hołubska, niegdyś uczennica miejscowa. W przeciągu tego czasu korzystały z nauki bezpłatnej 64 osoby, tak uczennice zakładów naukowych, jak ubogie dziewczęta z ludu, przecież te ostatnie, przyzwyczajone do robót grubszych, okazywały tu mniej chęci i mniej zdolności, czyniły też ogólnie postępy mniejsze. Wyuczone koronczarki zarabiają mniej przez wyrób koronek, niż przez nauczanie po domach prywatnych, bo nietylko młode panny, ale starsze już mieszkanki Piotrkowa uczą się z zajęciem koronkarstwa, co zdaje się wróżyć ten dobry skutek, że pieniądz, wychodzący z ubożego naszego kraju na koronki, sprowadzane z zagranicy, będzie u nas zostawał, gdy koronkarstwo stanie się naszym przemysłem domowym. Niemniej uzdolnione koronczarki mogą liczyć w Piotrkowie na zarobek, tak z miasta, jak z okolicy; największe zapotrzebowanie jest koronek wąskich do bielizny, których wprawna koronczarka może zrobić przez wieczór zimowy łokci 2. Próby koronek i wzory, wedle których mogą być zamawiane, znajdują się, jak i dawniej u szanownych pp. Krzywickich.

— Księżna Hohenlohe, córka ks. Wittgensteinowej-Iwanowskiej, dołożyła 70,000 marek do Liszta wejmarskiej fundacji wsparcia ubogich i sędziwych muzyków.

— Maria von Redelien, redaktorka pisma kobiecego: „Dagny“ wychodzącego w Rydze, ogłosiła konkurs na trzy rozprawy: „Oile jest to rzeczą korzystną dla szczęścia domowego, aby żona i matka brała osobisty udział w gospodarstwie domowym”—nagroda rs. 100. „Nowe drogi pracy dla kobiety z klas wykształconych,” „O pracy matki rodziny”—nagroda po rs. 50.

— Znana muzyczka na skrzypkach, Teresina Tua, zawarła kontrakt objazdu Stanów Zjednoczonych, trwać mający czternaście miesięcy i zawierający 220 koncertów, za co impresario gwarantuje jej 150,000 franków.

— Doktor, a raczej doktorka filozofii, Claere-Schubert, przebywając przez czas letnich miesięcy we Włoszech, w wiosce górskiej powyżej Pistoii, urządziła tam dla górali szkołę, której w stronach tamtych zupełnie brakowało. Uczniami i uczennicami jej była przeważnie ludność dorosła, głównie mężczyźni, którzy przybywali do szkoły z miejscowości nawet oddalonych. Że przecież banda zbójców grasowała właśnie w okolicy, uczniowie przybywali do szkoły, nie z książkami, ale nabitemi karabinkami w rękę. Dr. Claere-Schubert pisze do pism berlińskich, że lud włoski, zwłaszcza góralski, nie otrzymał dotąd od państwa spodziewanych korzyści nauki i oświaty umysłowej, do której jest jednak wiele zdolny i chętny, jak miała przykład przed oczyma. Na 30 milionów ludności Królestwa Włoskiego, 14 milionów nie umie ani czytać, ani pisać i pozostaje w najwyższej ciemności. Za to stare tradycje wyższej nauki kobiecej, kobiecego nauczycielstwa utrzymały się snadż w umysłach, i jak XIII wieku Bettisia Gozzardini wykładała na uniwersytecie bolońskim prawo; jak w Bolonii także, Dorota Bocchi w XIV wieku nauczała z katedry filozofii i medycyny, a Klotylda Tambroni, według świadectwa podpisu, umieszczonego pod jej portretem, była tam docentem nauk matematycznych, wreszcie Marya della Donna, już niemal w początkach naszego wieku zajmowała katedrę fizyki doświadczalnej i anatomii porównawczej—tak dziś jeszcze w szkołach wydziałowych, nawet męzkich, kobiety są przeważnie nauczycielkami, aż do III klasy, z pensją od 900, do

1,300 franków. Nauczycielki takie kształcą się poprzednio w żeńskich szkołach normalnych: „scuole normali”, i otrzymują po ukończonej nauce patent nauczycielki w szkołach wydziałowych. Nauczycielki owych szkół normalnych kształcą się znów do swego zawodu w wyższych naukowych zakładach żeńskich „Instituti superiori”, których jest dwa: jeden we Florencji, drugi w Rzymie.

Możliwość nauki uniwersyteckiej dano kobietom włoskiej w r. 1880. Poprzednio, w 1878 zapisały się i przyjęte zostały do Gimnazjum Galileusza we Florencji, jako regularne uczennice, dwie młode dziewczyny: jedna córka doktora, druga bibliotekarza uniwersytetu tamtejszego. Ucząc się i sprawując bardzo dobrze, skończyły obie naukę gimnazjalną z medalem zaszczytnego odznaczenia i przeszły do Liceum Danta, lecz zaraz w ich miejsce wstąpiło do gimnazjum 3, na rok przysły 6, dalej 8 dziewcząt, które obecnie studiują na uniwersytetach Florencji, Rzymu i Bolonii, a jedna z nich już nawet zajmuje w uniwersytecie bolońskim miejsce asystenta przy profesorze psychologii i, zastępując go, wykładała przez cały jeden semestr.

Obrazki z wojny francuzko-niemieckiej.

JAKÓB BRÛLEFORT

Przez JERZEGO RENARD

przekład

Maryi Kostrowickiej.

(Dalszy ciąg).

II.

Ufl wdrapaliśmy się nareszcie na szczyt góry. Zadyszani, spoceni, stanęliśmy przed drzwiami oberży pod „Wschodzącem słońcem.”

— Spodziewam się, panie Piotrze, że mi pomożecie wysączyć butelkę tego burgundzkiego winka, którego to jedynie chorym odstępujecie—mówiłem do oberżysty.—Pragnę bardzo usłyszeć koniec historii.

Propozycja ta była nielada pokusą tak dla gaduły, jak i smakosza. więc stary Piotr nie opierał się wcale. Człowiek ten lubił jednakowo chyba pić dobre wino, gadać, zwłaszcza wymyślając na Niemców, i targować—gdy gość rozwiązał przytem mieszek i nie susów parę położył mu na kontuarze. Więc też bardzo chętnie przystał na moje zaprosiny i siedzieliśmy wkrótce przy stole, a Piotr, pociągnawszy wina z lampki, i cmoknąwszy językiem z lubością znawcy, rozpoczął opowiadanie:

— Prusacy porozwalali się tu przy tysamym stole, przy którym teraz siedzimy, a ja stałem tam za bufetem, gdy wszedł Janek Lacroix. —Janek Lacroix malarz, znasz go pan przecież. Przyszedł niby kupić kwartę wina do domu, ale dziwnie jakoś wyglądał, przy tem dawał mi znaki; pod pozorem więc udania się do piwnicy poprowadziłem go do kuchni.

— Widziałem Jakóba—szepnął mi cichutko.

— Gdzie?—spytałem.

— Tu niedaleko. Schował się pod mostkiem na rowie do spuszczenia deszczowej wody; Prusacy szukając go, dziesięć razy przelecieli nad jego głową. To im figla splata! Lecz teraz zimno mu i głodny. Gwizdnął na mnie cicho, gdy wracał z pola. Żąda cieplejszego surduta, trochę co zjeść i pieniędzy, poczem ruszyłby zaraz do swego wuja Franciszka, mieszkającego ztąd o trzy mile. Chciałem to wszystko powiedzieć żonie, pukałem do ich domu, ale zamknięte, niko go niema: co więc czynić?

— Prusacy żonę jego aresztowali—rzekłem na to Jankowi.

— Chcą ją ze sobą uprowadzić. Widzisz ją tam w sali. Trzeba o tem dać znać Jakóbowi.

Łatwo to było powiedzieć, ale w rzeczywistości znaczyło ryzykować i jego i swoją własną skórę. Wtedy przyszedł mi na myśl chłopiec Jakóba. Chłopak był śmiały i sprytny: noc była niezwykle ciemna, mógł się wsunąć i ukryć w rowie latwiej, aniżeli dorosły mężczyzna; a zresztą skoro się raz do ojca dostanie, będzie go miał przynajmniej kto bronić.

— Malec musi tu być gdzieś blisko—rzekłem do Janka—trzeba go poszukać i wyprawić.

— Zdawało się to rzeczą najmądrzejszą, prawda, panie? a jednak pomyślałem sobie później, że nie wiedząc o tem, wspomagałem tego lotra kommandanta. Nikt mi tego nie wybije z głowy, iż ten lis miał swoją racją, pozostawiając malca na wolności: spodziewał się dostać ojca przez syna. Ha, trudno! Janek Lacroix sądził taksamo, że to, cośmy uradzili, było najlepszą rzeczą w świecie. Wyszedł więc zaraz, aby sprawę odpowiednio urządzić.

Prusacy, najadłszy się, palili fajki, kopcając, jak fabryczne kominy. Jakóbowi płakała cicho; nie chciała ani jeść, ani pić. Serce się krajało patrząc na jej smutek i nie mógł mu ulżyć. Na ulicy słychać było wołanie placówek: „Wer da?“ Nikt nie mógł wejść, ani wyjść z wioski bez zezwolenia kommandanta. Oficerowie i żołnierze zjawiali się od czasu do czasu z raportami. Aż o godzinie siódmej, nagle Jakóbowi zrywa się z miejsca na równe nogi z wielkim krzykiem; patrol przyprowadził do sali jej męża i syna.

Jakób blady był, ale spokojny, zęby miał tylko naciśnięte i jakieś złe błyski w oczach. A skoro kommandant rzekł do niego ze śmiechem:—Wiedziałem, mój zuchu, że cię złapiemy—on odparł, patrząc mu prosto w oczy:

— Nie złapano mnie wcale. Dowiedziałem się o aresztowaniu mej żony; powiedziano mi, iż zostanie uwolnioną, gdy wrócę, i oto jestem. Ale to wszystko jedno, schwytałicie mnie, tylko inaczej—postąpiłicie podłe!

Kommandant zbladł, potem krew mu uderzyła do głowy, stał się sino czerwony, jakgdyby się dusił, chwycił za rękojeść szabli i myślałem, że rozpląta głowę Jakóbowi, stojącemu przed nim ze skrzyżowanymi rękami. Ale zaklął tylko straszliwie, poniemiecku. Słów nie rozumiałem, lecz musiał być zły okrutnie, sądząc po wystraszonych minach niemieckich żołnierzy, którzy literalnie drżeli z przerażenia. O! gdyby Jakób Brûlfort nie był im tak potrzebnym, byłby miał biedaczysko niewątpliwie ciężką chwilę do przebycia! Nareszcie, gdy już kommandant nieco ochłonął i mógł już przemówić, rzekł:

— Będziesz tu spał, psie francuzki! Narzędzia ci do domu przyniosą i wyruszysz jutro wraz z nami. Przy najmniejszym usiłowaniu ucieczki, kula w łeb!

Jakób ani drgnął. Poszedł usiąść najspokojniej w kącie za stołem, gdy czterech drabów niemieckich z nabitą bronią w rękę i nałożonemi bagnietami zajęło miejsca przy sąsiednim stoliku. Żona przyniosła mu jeść i pić, a on jadł z apetytem, jakgdyby nic nie zaszło, milczał tylko; następnie zażądał, żeby mu przyniesiono torbę z narzędziami i koldrę. Żonę i chłopca, który nie chciał się z nim rozstać, wyprawił do domu, poczem, jak prawdziwy stary wiarus owinął się w derę, wyciągnął na stole, torbę z narzędziami podłożył pod głowę i usnął.

Nazajutrz o świcie, cała kompania wojska z bronią u nogi stała przed naszymi drzwiami; przyszli eskortować Jakóba, który też zeskoczył

już ze stołu i rozprostowywał kości, przeszedłszy się parę razy po pokoju; wypiliśmy po kieliszku na rozgrzewkę,—i gotów był do drogi. Doprawdy, drwił sobie ze swoich panów wesoło. Żartował szczególnie ze stróżów swych, którzy ani na chwilę nie spuszczały z niego oczów, jakgdyby się lękali, żeby im kominem nie uciekł. Jednakże dziwną jakąś miał minę. Zamyślał się chwilami i ze brwią zaciągniętą, ze wzrokiem nieruchomym, wyglądał, jakby wpatrywał się w jakiś odległy przedmiot, to znów potem podnosił nagle głowę ruchem wyzywającym.

Okolo ósmej przyszła do niego żona z synem. Biedne kobiecisko szlochało, aż przykro było słuchać.

— Słuchaj Kasiu—rzekł Jakób do niej—musisz mi przyrzec, że zaraz, w tej chwili zabierzesz się ztąd i pójdziesz do wuja Franciszka.

A gdy Katarzyna odpowiedziała przecząco, on, zniższy nieco głos, zaczął jej przekładać konieczność tego postępku. Muje się zdawało, że czterej pilnujący go Niemcy nie rozumieli ani słowa po francuzku, jednakże mógł to być podstęp z ich strony; bezpieczniej zawsze było mówić cicho. Szepnął jej też naraz do ucha:

— Zrozum-że, iż będę się starał umknąć im w drodze. Jeżeli zaś ty tu będziesz, to cię znów wezmą i ciągle będzie jedno i to samo w kółko. Dla spokojności mojej potrzeba, abym cię widział odchodzącą. Idź, zbierz trochę manatków i bądź dobrej myśli. Znajdę ja sposób wykręcić się z tej biedy.

Uściskał ją serdecznie, prawie wesoło, chcąc jej dodać ducha, i popchnął zlekka ku drzwiom. Chłopiec pozostał, a rzecz naturalna, że szlochał również; Jakób, pociągnawszy go do siebie, postawił między kolanami i rzekł:

— Ty, chłopcze, jesteś przecież mężczyzną, więc nie becz. To przyjemny widok dla tych lotrów. Wyobraź sobie, iż idę na wojnę. Z wojny ludzie powracają, nieraz się to zdarza. Jeżeli jednak spotkałoby mnie nieszczęście, nie zapominaj, co ci teraz mówię—będziesz matkę serdecznie kochał, prawda? Musisz ją wtedy kochać za nas obudwóch. A potem, gdy urodzisz, nie zapominając dnia dzisiejszego, zostaniesz żołnierzem, aby wyprawić z kolei kilku tych przeklętych Prusaków na tamten świat. No, chłopcze, nie płacz....

I malec, dusząc się, by łzy powstrzymać, mówił:—Już ojciec nie płacze...

Tylko słowa wzięły mu w gardle, a dwie łzy, wielkie jak grochy, spływały po policzkach. Jakób kazał mu iść do matki. Ach! w tej chwili już wesoło nie wyglądał, biedne człowieczysko. Głosem drżącym odezwał się do mnie:

— Zimno dziś rano, Piotrze. Traćmy się jeszcze! Może to będzie raz ostatni.

— Ostatni?—zapytałem.—A to dla czego? albo to ty w gorszych opałach nie bywałeś... I z tego wyjdiesz szczęśliwie.

Uśmiechnął się, nic nie odpowiedziawszy; widziałem że sobie jakiś plan ułożył. Kommandant zeszedł na dół ze swego pokoju a skoro tylko stanął na ostatnim stopniu schodów, zakommanderował:

— W drogę, marsz!

Jakób, wzięwszy torbę z narzędziami pod pachę, wyszedł za nim. Cała wioska wyległa patrząc za odchodzącym. Wszyscy go żegnali; ten ścisnął mu rękę, ten rzekł słowo i nigdy nie miał tyłu przyjaciół, co tego dnia. On patrzył ku domowi swemu niespokojnym wzrokiem; skoro przeciw ukazała się na progu jego żona, jedną ręką prowadząc chłopca, a w drugiej trzymając tobolek z rzeczami, widocznie odetchnął. Lecz gdy się z nimi żegnał, całując ich i mówiąc „do

widzenia, szczęśliwej drogi,“—kommandant ostro zapytał:

— A ona gdzie idzie?...

Ho, ho... szczwany to był lis ten stary kommandant. To odejście Jakóbowej, wydało mu się podejrzanem. Ale Jakób odpowiedział spokojnie:

— Nieobecność moja potrwa zapewne dość długo. Kobieta z dzieckiem będzie przez ten czas u wuja.

Mówił tak spokojnie, że kommandant dał się wywieźć w pole.

— Tak, to dobrze—odparł, klepiąc Jakóba po ramieniu. Ot, dziś rano masz przecież rozum, a lepiej z tem jest dla wszystkich. Za jaki tydzień będziesz tu w domu z powrotem. Nie wielka to rzecz zatem ta twoja służba z nami.

Zaraz wkrótce Jakóbowi z synem odeszła, Jakób odprowadził ich do zakrętu drogi, potem popatrzył trochę za nimi i ciężko westchnął; lecz skoro tylko znikli mu z oczów, można było powiedzieć, że to inny człowiek, twarz mu się nawet zmieniła, przywdział inną, nie obrażając uszów pańskich, jakgdyby zmienił koszulę. Był to nasz Jakóbek z dawnych dobrych czasów, śmiał się, drwił, żartował z Prusaków, nazywał ich „kielbaśnikami,“ wykrzykiwał:—Idziemy! Czy nie idziemy! Wyglądał jak pędziwiatr, ale prawdziwy Francuz chciał pokazać tym dragalom niemieckim, że są na to za mali, aby mogli narzaskić starego wiarusa afrykańskiej armii.

Nakoniec kolumna ruszyła. Jakób szedł w środku z tą miną i krzyknął nam na pożegnanie:

— Do widzenia, bracia!.. Wkrótce dam wam znać o sobie! Powiadam panu, że nie byłby weselej na wesele i nie jednemu nawet zopomni dzy nas trochę to przykro było i dziwno, że tak prędko przysłał do Prusaków. Lecz ja, com go dobrze znał, byłbym się założył, że myślał o splataniu im jakiegoś podstępu.

Miejsce, gdzie Prusacy zostawili maszynę, było zaledwie o pół milki za wioską, tam oto, na tej wyżynie. Ciekawość brała zobaczyć tę maszynę, prowadzoną z tak daleka.

— Pójdźmy—mówię do sąsiadów—przecież nas Prusacy nie zjedzą.

I poszło nas pięciu, czy sześciu za kolumną, uprowadzającą Jakóba, a wkrótce ujrzelśmy w pośrodku drogi jakąś rzecz czarną, otoczoną przez niewielki oddział wojska, który prawdopodobnie pilnował jej noc całą. Była to lokomotywa drogowa, jak mi się zdaje, że ją nazywają; za nią na dwóch wozach prawie całych z żelaza, armata i laweta do niej. Ach! panie laskawy, trzeba było widzieć, co to było za działo! Potwór! powiadam: potwór! Czy to było działo, żeby ludzie wymyślali takie narzędzia zniszczenia? Dwóch mężczyzn byłoby się śmiało mogło pomieścić w wylocie. A Bóg jeden wie, ile centnarów ważyć musiało! Kule z tego przebiegałyby zapewne domy na wylot i waliły w gę gruzów. Pomyślawszy w dodatku, iż działo tego kalibru byłoby co najmniej na dwie mile, mówiliśmy sobie ze smutkiem, że biednym Paryżanom nie wesoło będzie, gdy ta ładna maszynka dojedzie do nich, tylko nie zbyt do dogodna rzecz prowadzić gmach taki! Żeby ją z miejsca ruszyć, trzeba by jakich trzydziestu koni. Tu para tylko mogła poradzić, a uczciwa kula francuzka maszynistę zabiła i lokomotywa się popsuła.

(Dokończenie nastąpi.)

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 8-my powieści pod tytułem **Godność kobiety**, przez H. Heinberg.

TREŚĆ: Joanna Craik, wspomnienie pośmiertne.—Z motywów ludowych, poeta.— Filistry, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawałowicza.— Kobieta w Japonii.— Nowiny paryzkie, (dokończenie).— Obrazki z wojny francuzko-niemieckiej, II, (oalszy ciąg), przekład M. Kostrowickiej.— Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Godność kobiety**, przez H. Heinberg - Przegląd mód. — 20 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozyeya stołu.

z nowych kolorów zwany „gobelinowym“, jest stalowy z odcieniem niebieskawym, w tym cieniu materiał w jedwabne równe wąskie paski, był śliczny. Do nowości należą także szerokie pasy w jednym kolorze — jaśniejsze i ciemniejsze, a na nich grochy duże, zwane pastylkami. Inną znowu fantazją jest między dwoma szerszymi pasami wąziutki pasek naśladowujący deseniem haft — ten sam rodzaj widzieliśmy u pana Makowskiego, na francuskiej jedwabnej morze, ale prawdziwe francuskie jedwabie, są dziś bajecznej ceny, bo od funta płaci się cła 6 rs. złotem, a wynosi przy dzisiejszym kursie blisko 11 rs. Wełny wyglądają bardzo ładnie, z najdroższych były w cenie 2

rs. 20 kop., inne po rs. 1 kop. 20, do 50; tańsze po rs. 1, a nawet 75 kop. Z angielskich wyrobów były ciepłe i zawsze noszone wigonie należące do tak zwanych „klasycznych“ towarów i tartany, a wszystko w pasy lub jeszcze w kratę mało odznaczającą się, te angielskie wyroby po rsr. 1 kop. 50. Na negliżowe ranne ubrania były śliczne flanelki na pasach szerokich koloru „écru“, (niewarowo-żółtawy) paski niebieskie i pasowe i zielone i ciemniejsze szare,



Nr 1. Stanik jedwabny.



Nr 2. Paltocik dla młodych osób. Krój i opis odwr. str. tabl Nr IX, fig 53 — 64.

Przegląd mód.

Nowości w magazynie p. Heurich róg Miodowej. — Praktyczne kostiumy po 25 rsr. u p. Anny róg Marszałkowskiej i Próżnej. — Taniósć p. Kleczyńskiego. — Pani Anna Thomey Magazyn konfekcyj gotowej.

Wiązek sprawozdawczy nakazuje nam, zwiedzać z kolei wszystkie znaczniejsze składy naszego miasta i oto zajrzeć nam trzeba do sklepu Heurich, która nieograniczyła się do wyrobów krajowych, dziś znajdujemy tam wszystkie nowości, tak zagraniczne, jak krajowe. Różnica zaś tych dwóch rodzajów leży w nowości i pomysłu i koloru. Wełnę bowiem naszą kupują zagraniczne fabryki, a bawełnę i jedwab my sprowadzamy z tamtąd i rzeczywiście różnica polega na tem, że z zagranicy przychodzą rzeczy, jako gust najświeższy.

Otóż paski i pasy są znowu najmodniejsze, ale również gładkie wyroby do bardzo modnych należą, więc pokazywano nam śliczne plusze w pasy morowe w kolorach najmodniejszych cieni, jak heliotrop, lub zielone z pasowem, granatowe z poziomkowem przerażane jedwabiem, a do każdego z obranych pluszy materiał gładki. Te plusze z odcieniem mory są śliczne. Wszystkie wełniane materiały wyrabiają obecnie podwójnej szerokości. Jeden



Nr 3. Paltocik dla paniąki od 7 do 9 lat. Prząd. Nr 4. Suknia Nr 5. Płaszczyk dla paniąki od 13 do 15 lat. Prząd. (Do r. 6). Krój i opis odwr. str. tab. Nr VI, fig. 38—47. z kaszmiru. (Do r. 7). Krój i opis odwr. str. tab. Nr VIII, fig. 50—57

bardzo ładne. Na salopy bardzo praktyczne materiały wełniane, jedwabie zaś w adamszkowy lub rzucany deseń grochu, pastylek i t. p., wszystkie te materiały jedwabne, pochodzące z fabryk cesarstwa, są stosunkowo bardzo niskiej ceny. Kupiwszy praktyczny materiał u p. Heurich, idzie się do praktycznego magazynu pani Anny, róg Marszałkowskiej i Próżnej, słyszącym z praktycznych fasonów angielskiej mody, na dowód czego widzieliśmy w witrynie tego magazynu wystawiony bardzo ładny kostium, poważnego kroju, z wyborowego wełnianego materiału — w cenie 25 rsr. Na ceny nowoczesne, do których już nas przyzwyczaiła zagranica, jest to bardzo tanio. Wprawdzie przypominam sobie lat temu 30, miałam suknię jedwabną kupioną z własnych oszczędności za rsr. 15, ale ileż wtedy wymagano materiału na suknię. Dziś kupując nawet u pana Kleczyńskiego (Rersursa obywatelska), który znowu skład swój otworzył i na dawną skalę go prowadzi, gdzie jak wiemy, towary są bardzo tanie, jeszcze by kostium nawet w najskromniejszej pracowni robiony, tyleż lub więcej kosztował, a nie byłby niezawodnie tak ładny. Ale konieczność zmusi nas do dawnej skromności i oszczędności, bo z upadkiem cen zboża, czyli naszego gospodarstwa rolnego, musi się zmienić i skala życia. Obywatelskim obowiązkiem naszym, jest protegować wy-



Nr 6. Paltocik dla panienki od 7 do 9 lat. Plecy. (Do ryc. 3).

roby krajowe i to tylko z fabryk zagranicznych nabywać, czego nasze fabryki nie dostarczają.

U pani Anny śliczny był kostium granatowy, gdzie niegdzie widniały popielate paski wązkie, z przodu w kontrafałdy ułożony — stanik w połączeniu z polonezą czyli velement, w duże grube fałdy kołnierza

wyłożony szeroko z ranwersami, na jaśniejszej jedwabnej także w paski kamizelce. Drugi popielaty, owego modnego gobelinowego koloru, z gładkiej wełny, miał spódniczkę z ranwersem z przodu, na trzy rzędy niby spinaną, z tyłu podłużna draperya formowała tiunikę, zapiętą na wierzchu gładkiego stanika z kołnierzem, kamizelczką i mankietami, siutaszem wyszytymi, na spódniczce wążki guzików. Nieskończylibyśmy wyliczać, tyle tam pięknych a praktycznych sukien i okryć jaśniejszych gotowych, a nawet do każdego okrycia zastosowany kapelusz tam dostać można, bo to właśnie jest ową praktyczną stroną magazynu p. Anny, że się od razu tam zaopatrzyć można, w zastosowane do siebie konfekcyje.

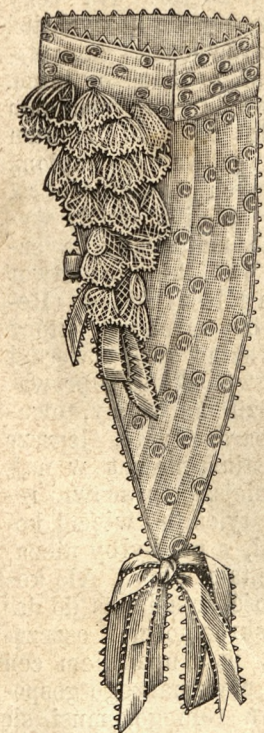
Pani Anna Thones, właścicielka dawnej firmy, stanęła jako przewodnicząca nowego magazynu konfekcyi swego brata Kaliksta Romusa i pragnąc dalej ze znaną swą starannością, służyć licznej swej klienteli. Magazyn mieści się przy ulicy Nowo-Senatorskiej Nr 4, gdzie oglądaliśmy bardzo bogate pluszowe, zimowe okrycia, okładane futrem lub piórami i bardzo zręcznej formy paletoty, jako wierzchy gotowe na futra.

Koronka szydełkową robotą.

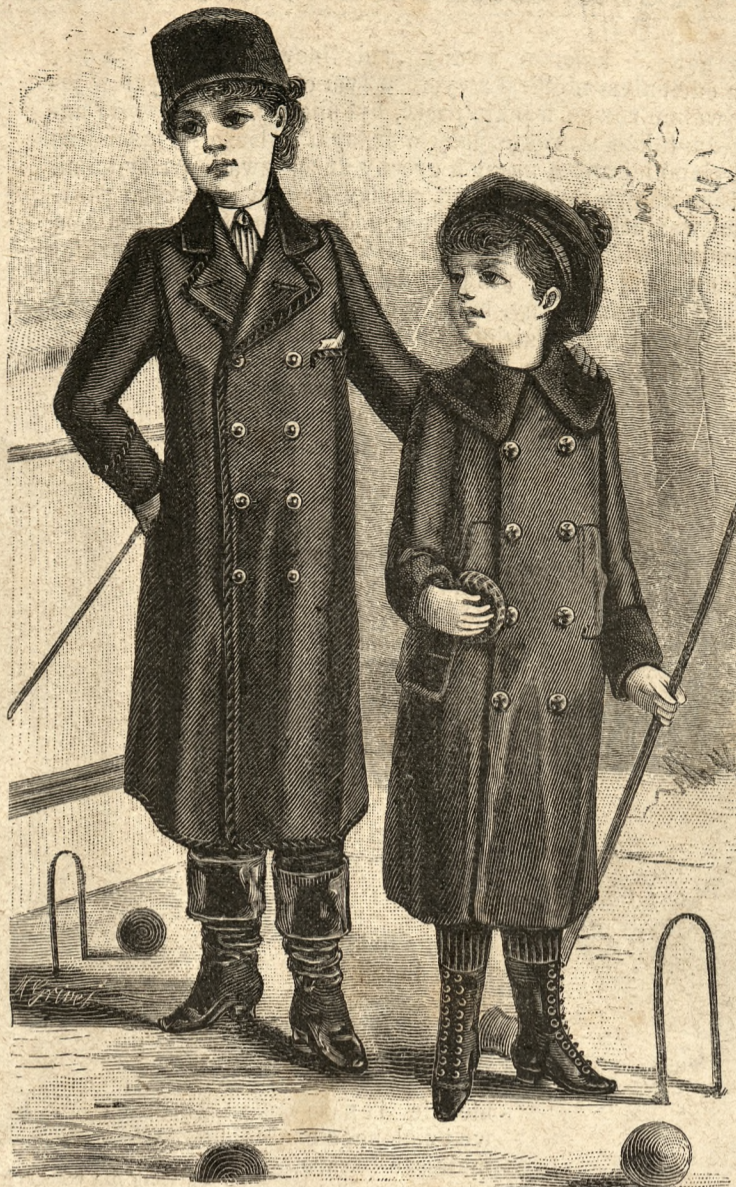
Rycina Nr 3 w Blu. Nr 45.

Koronka z krętej kremowej bawełny, częścią wzdłuż, częścią w poprzek. Kolej 1: 34 pow. ocz., 4 pierwsze z nich opuścić, * na 1 słup. krzyżykowy 1 potrójny słup. w najbliższe ocz., przerabiając tylko dolną żyłkę, 1 słup. w 4 z rzędu ocz., przerobić górną żyłkę tegoż ocz., z najbliższą żyłką poprzedniego potrój. słup. i górne żyłki tychże, 3 pow. ocz., 1 słup. w środkową żyłkę poprzedniego potrój. słup., co stanowi zakończenie pierwszego krzyżowego słupka, 3 pow. ocz., 3 razy na przemian: 3 ocz. opuścić, 1 krzyżowy słupek, 3

pow. ocz., przy ostatnim jednak powtórzeniu, zamiast 3 ocz. pow., 8 pow. ocz., robotę odwrócić i na tych samych ocz. z powrotem, pierwsze o. opuścić, 36 ścis. ocz. w następne 36 ocz., robotę odwrócić, 1 pow. ocz., 36 ścis. oczek w tylne żyłki najbliższych 36 ścis. ocz., 3 pow. ocz. robotę odwrócić, następne ocz. opuścić, 38 ścis. ocz. w tylne żyłki następnych 38 ocz., 5 pow. ocz., 1 pikot (to jest: 5 pow. o. 1 o. ścis. łańc.), † 5 pow. ocz., 3 pik., a pomiędzy nimi po 1 pow. o. środkowe ocz. środkowego pik., przerobić z 9 z poprzednich 38 ścis. ocz., od † 3 razy powtórzyć, przy ostatnim jednak powtórzeniu, przerobić z 10



Nr 10. Kołnierzyk stojący z żabotem.



Nr 8. Paltocik dla chłopczyka od 9 do 11 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig 39-45.

Nr 9. Paltocik dla chłopczyka od 6 do 8 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 12-18.

L. Ć.



Nr 12. Stanik sukieny.

z rzędu ocz., 1 pow. o., 5 pik. a pomiędzy nimi po 1 o. pow., † 3 ścis. ocz. w środkowe 3 z następnych 5 pow. ocz., 1 pow. o. trzy pik. a pomiędzy nimi po 1 pow. ocz. 1 pow. ocz. od ostatniego 2 razy powtórzyć, trzy ści. ocz. w środkowe 3 z następnych 5 pow. ocz., 1 pow. o., 1 pik., robotę odwrócić, 11 pow. ocz., 1 o. ścis. w środkowy z 3 następnych pik., 3 razy naprzemian: 8 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe z następnych 3 pik., 11 pow. ocz., robotę odwrócić, następne ocz. opuścić, 45 ścis. ocz. w następne 45 ocz., robotę odwrócić, 1 pow. ocz., 45 ścis. ocz. w tylne żyłki następnych 45 ocz., 3 pow. ocz., robotę odwrócić, następne ocz. opuścić, 47 ścis. ocz. najbliższego poprzedniego brzegu, poprzednio wykonanych ocz., aż do ostatniego poprzednio wykonanego pik., 3 pow. ocz., 4 ścis. ocz. w 4 do 1 z 5 pow. ocz., będących przed 1 poprzednio wykonanym pik., 5 ścis. ocz. w następne brzegne ocz., aż do przedostatniego pow. ocz. przed 1 krzyżowym słup., robotę odwrócić, 1 pow. o., 18 ścis. ocz. w tylne żyłki najbliższych 18 ocz. robotę odwrócić, 1 pow. ocz., 18 ści. ocz. w tylne żyłki następnych 18 ścis. ocz., robotę odwrócić, 1 pow. ocz., 4 ścis. ocz. w tylne żyłki najbliższych 4 ocz., 1 pik., 2 razy naprzemian po 5 ścis. ocz. w tylne żyłki najbliższych 5 ocz., 1 pik., 4 ścis. ocz. w tylne żyłki najbliższego 4 o. ścis., 1 pik., 3 ścis. ocz. w 3 oczko najbliższego

poprzedniego brzegu, 1 ści. ocz. w tylną żyłkę ostatniego z poprzednio wykonanych 47 ocz., 1 pik., 2 razy naprzemian 4 ścis. ocz. w tylne żyłki najbliższych 4 ścis. ocz., 1 pik., 8 ścis. ocz. w tylne żyłki następnych 8 ścis. o., 3 pow. ocz. i od * powtórzyć, przy każdym jednak powtórzeniu, zamiast pojedynczych pow. ocz., po drugim i trzecim odwróceniu roboty, przy wycięciu zębka, wykonać przed odwróceniem roboty, 1 ścis. o. w przedostatnie i 4 z rzędu ścis. ocz., przed zakończeniem poprzedniego wzoru. Następnie wykonać wzdłuż roboty górny brzeg koronki. Kolej 2: * 1 ścis. ocz. w pierwsze o. będące przed 47 ścis. ocz. najbliższego wzoru, 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w pow. ocz. będące przed pierwszymi z 45 ści. ocz. tegoż samego wzoru, 6 pow. ocz., 1 ścis. oczko w środkowe z następnych 3 wolnych pikotów, 6 pow. ocz., 1 ści. ocz. w te same ocz., które było spojęne z najbliższym pik., 3 pow. ocz. 1 ścis. ocz. w 8 następne ocz. po 4 krzyżowym słupku, tegoż samego wzoru, 6 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 3: Po 1 ścis. ocz. w każde ocz. poprzedniej kolei, (następne koleje wykonywać tam i z powrotem). Kolej 4: 1 pow. ocz. i po 1 ścis. oczku w tylną żyłkę każdego z następnych ocz. Kolej 5 jak poprzednia kolej. Kolej 6: 8 pow. ocz., 3 ocz. opuścić i ciągle naprzemian: 1 krzyżykowy słupek w następne i 4 z rzędu ocz., 3 pow. o. 3 ocz. opuścić. Kolej 7 do 9, jak 3 do 5.

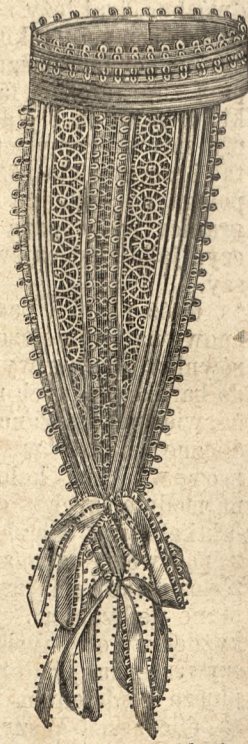
Stanik jedwabny.

Rycina Nr 1.

Krótki stanik z materiału jedwabnego oliwkowego koloru, wycięty „en coeur” i ozdobiony wzdłuż brzegów wycięcia oraz u dołu rękawów szarą koronką „écru”.



Nr 7. Płaszczek dla panienki od 13 do 15 lat. Plecy. (Do ryc. 5).



Nr 11. Kołnierzyk stojący z żabotem.

Przód zdobią jedwabne fałdy. Kokarda atlasowa dopełnia spięcia stanika.

Suknia z popielatego kaszmiru.

Rycina Nr 34.

Suknia z popielatego kaszmiru, z długą fałdzistą tiuniką, ozdobioną z prawej strony haftowanymi szlakami. Takież same szlaki zdobią stanik, wycięty szalowo i spięty na haftki. Napierśnik z białego surah i wycięty na aksamitu.

Kołnierzyk stojący z żabotem

Rycina Nr 10.

Ukroić jedną część z grubego muslinu 40 cent. długą, a 20 cent. szeroką u góry; u dołu zaś śpiczasto zakończona, przykryć tę formę niebieską krepu, następnie crêpe-lisse tegoż koloru, wyhaftowanym niebieskim jedwabiem. U góry podciąć na 2 cent. na wykrój szyi, obszyć z boku wstążką z pikotami 1½ centim. szeroką i ubrać z boku koronką białą, 7 cent. szeroką, jak również kokardami podług ryciny. Kołnierzyk stojący 47 cent. długi, 5 c. wysoki z krepki, pokryty tym samym materiałem ułożonym w fałdy; ma zaszwękę małą w środku przodu, obszyty jest u góry wstążką i wszyty do napierśnika. Zapina się z tyłu na małe guziczki i pętelki.

Kołnierzyk stojący z żabotem

Rycina Nr 11.

Napierśnik ten wykonany jest z różowej wstążeczki z pikotami, 1 cent. szerokiej, gipiurowej wstawki 2½ cent. szerokiej i białego crepe-lisse, ukrojonego ukosnie i ułożonego w drobne fałdki. Ukroić dwa końce ze wstążki, 28 cent. każdy, połączyć je pikotami; wyłożyć drugą stronę wstążki na 1/3 cent. i podszyc gipiurową wstawką. Połączyć wstawkę z obydwóch stron, z częścią z crepe-lisse ułożonego w fałdy, a mającej po ułożeniu 2¾ cent. szeroko, podszyc te fałdy gładkim crepe-lisse i obszyć cały napierśnik, oprócz górnego brzegu, wstążką, złożoną podług ryciny. Górny brzeg podciąć na 2 centim. objąć crepe-lisse i połączyć z kołnierzykiem 36 centim. długim, a 4 cent. wysokim, z ułożonego crepe-lisse, obszytego u góry podwójnie złożoną wstążką. Ubrać napierśnik kokardami ze wstążki. Zapina się z tyłu na guziczki i pętelki.

Stanik sukieny.

Rycina Nr 12.

Stanik z gładką okrągłą baskiną, ozdobiony napierśnikiem z sukna odmiennego koloru, zdobiony przewiązaniem ze sznura z pomponami podług ryciny.

Balowe i wieczorowe wachlarze.

Rycina Nr 14 do 16.

Podstawa wachlarza składa się z drewnianych jasno-żółtych prętów, z których środkowe są 36 cent., boczne 20 cent. długie, pokryte jasną krepu, oraz zastosowaną do formy wachlarza koronką, której tło jest wycięte. Zewnętrzna stronę

wachlarza zdobi malowidło, kokarda zaś ze wstążki, dopełnia całości wachlarza.

Pręciki drugiego wachlarza są złożone na ¾ cent szerokie. Wierzchnia część bocznych prętów podłożona drzewem, które przytrzymują małe brązowe guziczki; wszystkie zaś inne pręty wklejone są między podwójną część pokrycia, z ciemno-żółtej grenadyny. Zewnętrzna strona wachlarza ozdobiona jest malowidłem; sznur oraz kwasty uzupełniają ten wachlarz.

Pozłacane pręciki trzeciego wachlarza, 25 cent. wysokie w środku, a 22 centim. po bokach, obszyte są u góry brązowymi strusimi piórami. Kokarda w kształcie rozety z brązowej wstążki, dopełniają całości.

Koszyk do roboty lub do papieru.

Rycina Nr 19

Koszyk ten podłużnego kształtu z bambusowych i trzciniowych prętów, połączonych niklowymi spojeniami. Zewnętrzna strona koszyka ubrana pluszem poziomkowego koloru. Plusz zmarszczony u góry i u dołu, tworzy główkę na 8 centim. oddaloną od góry, a 24 i 27 od dołu, przez którą przeprowadzony jest sznur. Oprócz tego koszyk ozdobiony jest bawełnianą krepu na 25 cent. wysoko, a 70 cent. szeroko wyhaftowaną jedwabiem oliwkowego i poziomkowego koloru w kilku cieniach, ścięciem gałzkowym, łańcuszkowym, oraz zakończony dzierganymi ząbkami. Koszyk wyłożony wewnątrz kaszmiem kremowym, kokardy z wstążki poziomkowego koloru z pikotami, bombelki i kwasty z kremowej i poziomkowego koloru włóczki i jedwabiu, uzupełniają ten koszyk, którego rączka okrzona jest pasem z pluszu.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z makaronem.
2. Sztukamięsa z ogórkami.
3. Pierożki leniwe z sosem.
4. Kapłon z kompotem.
5. Ryż z jabłkami.

KORESPONDENCYA.

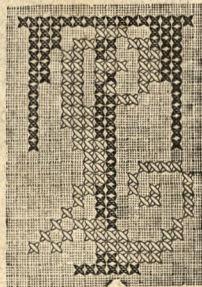
Pani Antoninie Med...

1. Dowiemy się o dziełach traktujących o fabrykacji serów i przysyłamy pani informację.

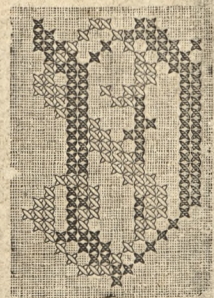
2. Szwajcarski jezeł będzie dobrze naśladował prawdziwy, ma zawsze największy popyt. Żmudzkie mniej — litewskie więcej są lubione.

3. Tysiącznik jest to ziele znane powszechnie i używane w aptekach na brak apetytu.

4. Przepisy co do fabrykacji serów, znajdzie pani obszernie traktowane, w dziele p. L. Ówierzakiewicz „Kurs gospodarstwa dla kobiet“.



Nr 17. Znak haftowany.



Nr 18. Znak haftowany.



Nr 14 — 16. Balowe i wizytowe wachlarze.



Nr 19. Koszyk do roboty lub do papieru.

Niniejszy numer objaśnia dwie tablice, a mianowicie: dołączona do N-ru 44 i do dzisiejszego numeru.



Objaśnienie znaczków: ◼ ciemno brązowy, ✕ jasno-brązowy, ◻ ciemno-pasowy, ◻ jasno-pasowy, ◻ różowy, ◻ ciemno-zielony, ◻ jasno-zielony, ◻ ciemno-niebieski, ◻ jasno-niebieski, ◻ czarny, ◻ ciemno-żółty, ◻ jasno-żółty. Nr 20. Połowa deseni na dywan krzyżową robotą.